

# BILUSZCZ



WARSZAWA, 22 MAJA 1926 ROKU



Bardzo ważne!

Bardzo ważne!

## OD ADMINISTRACJI

PROSIMY O ZAPŁACENIE PRENUMERATY ZA CZERWIEC R. B.

## PRENUMERATA JEST PŁATNA Z GÓRY!

CZEKI P. K. O. DOŁĄCZAMY DO NINIEJSZEGO NUMERU

Ze względu na to, że z powodów od nas niezależnych wysłane przez nas numery „BLUSZCZU” giną na poczcie, prosimy, w razie nieotrzymania numeru do soboty zawiadomić nas o tem najpóźniej w poniedziałek następnego tygodnia. Reklamacyj niewniesionych w czasie właściwym uwzględnić nie będziemy mogli.

**Baczność Matki!****Baczność Matki!**

22 MAJA

WYJDZIE Z DRUKU

DRUGI NUMER DWUTYGODNIKA

**„DZIECKO I MATKA”**

Dwutygodnik ten, którego współpracownikami są wybitni lekarze, pedagodzy oraz specjaliści w wychowaniu dziecka w okresie przedszkola, jest poświęcony sprawom wychowania i zdrowia dziecka do lat 7-miu (prospekt dołączyliśmy do numeru 18-go Bluszczu).

**Każdy numer w barwnej okładce, bogato ilustrowany, z dodatkami t. j. tablicą krojów ubrań dziecięcych, względnie krojami bibułkowemi kosztuje pojedynczo 60 gr.; w prenumeracie miesięcznej z przesyłką—tylko 50 gr.; kwartalnej — 45 groszy.**

Nie należy zwlekać i natychmiast dwutygodnik zaprenumerować, gdyż numer pierwszy już na wyczerpaniu.

Najlepiej przesłać prenumeratę kwartalną w kwocie 2 zł. 70 gr. lub ostatecznie miesięczną w kwocie 1 zł. czekiem P. K. O. Nr. 12.900.

Numery okazowe wysyłać będziemy po nadesłaniu znaczków pocztowych za 50 gr. do

Administracji „DZIECKA i MATKI”

Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99.

Czek P. K. O. dołączyliśmy  
do Nr. 18 „Bluszczu”.





ROK LIX

№ 21

# PIŚMIENIOWY GODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 22 MAJA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Walka z wrogiem rodziny — *H. C.* Przyniesienie kobiet do obrony kraju — *Zofja Guzowska.* Z aktualnych zagadnień prywatnego szkolnictwa — *al.* Jazda do Oksywji — *Józefa Gażyńska.* Trzechsetlecie pani de Sévigné — *M. Czapka.* Wiersze: Twoje ręce — *Hanna Morkowiczówna.* „Lalage” — *M. Saponaro* (tłum. *T. J.*) Grande-Grille (szkic powieściowy) — *Wanda Miłaszewska.* Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszanka.* Nad mogiłą Emilji Pankiewiczówny — *C. Walewska.* Dusza dziecka — *Józef Jankowski.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Włoszka o Polsce — *K. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Modne kapelusze. Letnie suknie — *Well.* I znów reminiscencje — *N...ska.* Zdrowie naszych rodzin, a służba domowa — *Dr. J. Mozołowska.* Piłka latająca — *K. M.* Normalizacja rachunkowości domowej — *Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jareмка i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.) — *Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasiutyńska.*) TABLICA KROJU.

NARÓD NASZ PRZEŻYWA TRAGICZNE I POTĘŻNE WSTRZAŚNIENIA WEWNĘTRZNE. OBY TE CIĘŻKIE CHWILE STAŁY SIĘ OKRESEM PRZEMIANY I OCZYSZCZENIA, NIOSĄCEGO OJCZYŻNIE LEPSZE I SZCZĘŚLIWSZE JUTRO.

KOBIETA POLSKA MUSI PAMIĘTAĆ, ŻE DZIŚ KAŻDY JEJ KROK I KAŻDY JEJ CZYN MA BYĆ AKTEM MIŁOŚCI BRATERSKIEJ.

## WALKA Z WROGIEM RODZINY



rożnem niebezpieczeństwem dla narodu i jego przyszłości jest wzrastająca z każdym miesiącem alkoholizacja współczesnej Polski. Wciąga ona obecnie na orbitę swego trucicielskiego działania i tę połowę społeczeństwa, która poprzednio była dla niej prawie niedostępna, wciąga kobiety i

to nawet kobiety z inteligencji...

Pozatem statystyka mówi nam na ten temat rzeczy przerażające: alkohol jest przyczyną  $\frac{1}{3}$  wszystkich samobójstw,  $\frac{1}{4}$  przypadków obłądzenia, połowy pochodzących od alkoholików dzieci — idjotów i  $\frac{4}{5}$  wszystkich przestępstw.

A ta, dająca się zauważyć w coraz wyższym stopniu, ogólna depresja, to zniechęcenie do rzeczy i spraw, ten obłąkańczy pesymizm polityczny, czy to nie typowy katzenjammer alkoholika, któremu po przejściu chwilowego podniecenia świata widnokrąg cały maluje się na czarno?...

Dla zwalczania alkoholizmu coś niecoś w Polsce się robi — ani w rozmiarach, odpowiadających kłesce, ani z entuzjazmem, którego walka ta jest godną.

Zbilansujmy te poczynania. Więc przedewszystkiem ustawa antyalkoholowa. Uchwalił ją Sejm Ustawodawczy 23 kwietnia 1923 r. Referentką ustawy była posłanka łódzka pani Moczydłowska. Nie jest to ustawa prohibicyjna w pełnym znaczeniu tego wyrazu. Jest to ustawa ograniczająca tylko spożycie alkoholu: przez zakaz sprzedaży napojów alkoholowych powyżej 45 procent alkoholu.

Ograniczenia miejsc sprzedaży i wyszynku do 1-go na 2500 mieszkańców.

Zakaz sprzedawania i podawania alkoholu młodzieży do lat 21.

Zakaz sprzedaży alkoholu w dni świąteczne i dni poprzedzające święto od godz. 3-ej po poł.

Prawo t. zw. opcji lokalnej, to znaczy, że każda gmina u siebie ma prawo uchwalić całkowity zakaz sprzedaży i podawania alkoholu. Wystarcza do prawomocności uchwały  $\frac{2}{3}$  głosów wszystkich uprawnionych do głosowania mieszkańców gminy,  $\frac{3}{4}$  gmin w powiecie zdecydować mogą o zakazie obowiązującym cały powiat. Ustawa zabrania także podawania alkoholu na dworcach kolejowych, w pociągach itd. itd.

Wszystkie te, oraz inne jeszcze rozporządzenia, ściśle wykonywane mogłyby w znacznym stopniu zmniejszyć alkoholizację społeczeństwa. Niestety



ustawa jest strzępkiem papieru — niczem więcej. Albo się obchodzi jej przepisy, albo nawet zupełnie nie przystąpiono do ich wykonania. Po starym szynki mieszczą się w sąsiedztwie szkół, kościołów, urzędów, choć ustawa tego zabrania; po starym na paruset mieszkańców danej okolicy jest jeden, albo dwa wyszynki wódki. Co gorsza plenią się, jak nigdy, tajne gorzelnie i tajne wyszynki spirytusu, które są tem szkodliwsze, że sprzedają alkohol nieoczyszczony, no i żadnej opłaty do Skarbu Państwa nie wnoszą.

W dodatku ogólnopañstwowa polityka gospodarcza poszła po linii, wprost przeciwnej założeniom ustawy przeciw alkoholowej. Zaprowadzenie państwowego monopolu spirytusowego postawiło interes Skarbu w sprzeczności z najżywoźniejszym interesem społeczeństwa i duchem tego prawa, które walkę z alkoholizmem wdroyć miało na całej linii.

Teraz jest więc tak, że gdy Ustawa przeciw alkoholowa czarę z trucizną wytrąca z rąk alkoholika, Monopol państwowy mu ją podaje, mówiąc: pij, twoje grosze z bogacą Skarb!...

Pomimo to wszystko, a nawet właśnie dlatego społeczeństwo tem energiczniej ze złem walczyć powinno, przestrzegania ustawy antyalkoholowej się domagać, z przepisów jej i uprawnień korzystać. Nadaje się do tego w wysokim stopniu, t. zw. prawo opcji lokalnej. O ile wiemy, dotychczas żadna gmina w Państwie nie zdołała wprowadzić u siebie zakazu sprzedaży alkoholu. Nie dlatego, żeby nie chcieli! Przeciwnie! Od kilkunastu gmin wpłynęły w tym duchu podania do odpowiednich władz.

Ale drogi urzędowe są tak długie... wpływy zainteresowanych w przewlekaniu takich spraw szynkarzy, restauratorów — tak potężne...

Nauczycielstwo szkół powszechnych, Ziemianki, istotnie po obywatelsku pojmujące swoje zadania, wszelkie stowarzyszenia oświatowe i kulturalne, dążąc powinny do uświadomienia gmin, że im takie prawo przysługuje i do przeprowadzenia odpowiednich uchwał. Inne znów czynniki społeczne, jak stowarzyszenia antyalkoholowe dopilnować powinny, by uchwały te przeszły przez wszystkie konieczne instancje i stały się czynem, stały się radosnym faktem na drodze odrodzenia narodu.

Przechodzimy do stowarzyszeń i innych czynników walki z alkoholizmem. Posiadają je prawie wszystkie dzielnice Państwa. Jednakże stopień ich rozwoju jest naogół dosyć mizerny.

W Warszawie istnieje, odrodzone obecnie po długim letargu stowarzyszenie „Trzeźwość“ (Okólnik 11 m. 28 od 4—6). W Zarządzie widzimy tam ludzi różnych obozów: obok posł. Ireny Puzynianki, dr. Zofję Daszyńską-Golińską. Przewodniczącym jest sędzia Jakób Glass, długoletni działacz na niwie walki z alkoholem; spotykamy tam dr. Radziwiłłowicza, redaktora Szymańskiego — wszystko osobistości wybitne i zdecydowani pionierzy akcji antyalkoholowej. Stowarzyszenie to, jako mieszczące się w Stolicy, odegraćby mogło bardzo doniosłą rolę w uzdrowieniu społeczeństwa naszego z psychozy alkoholowej, gdyby nie stało odosobnione i samotne, gdyby ludzie rozumiejący, że alkohol stać się może raz

drugi naszą zgubą, pogarnęli się ochotnie do wspólnej pracy.

Nadto w Warszawie, ostatnimi czasy, Polski Komitet do walki z handlem kobietami i dziećmi wytworzył u siebie sekcję walki z alkoholizmem, która rozpoczęła działalność swoją bardzo udanym zbiorowym odczytem p. t. „Alkoholizm a młodzież“.

W Warszawie także wychodzi kwartalnik p. t. „Walka z alkoholizmem“, zagadnienie całe traktujący naukowo i poważnie. Adres Redakcji: Nowogrodzka 21 m. 28.

Niepodobna, mówiąc o czynnikach walki z alkoholizmem, pominąć Generalnej Dyrekcji Zdrowia, będącej dawnym Ministerstwem Zdrowia, okrojone ze względów oszczędnościowych i włączone do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a które tak poważne i tak rzetelne zasługi położyło w sprawie podniesienia zdrowotności publicznej. Dzięki subsydjom Generalnej Dyrekcji Zdrowia ukazują się raz po raz wydawnictwa antyalkoholowe, a w ostatnich czasach szereg barwnych i niezmiernie interesujących tablic, ilustrujących szkodliwe działanie alkoholu na organizm i na psychikę człowieka, statystyczne wykresy ujemnych wpływów alkoholu na życie społeczeństw itd. Dzięki również subsydjom tej instytucji rządowej powstały w Warszawie trzy pierwsze przychodnie antyalkoholowe: dwie przy przychodniach przeciwgruźliczych, Miodowa 1 i Brzeska 4, oraz przy t. zw. Ośrodku Zdrowia w Mokotowie, Puławska 91.

Wielkopolska posiada aż trzy organizacje antyalkoholowe: „Związek księży abstynentów“, „Związek Katolików Abstynentów“, „Polską Ligę Antyalkoholową“ i niedawno założony „Związek nauczycieli abstynentów“. Organizacje te, sięgające wpływami swemi także Śląska, posiadają t. zw. Składnicę Abstynencką (Poznań, Al. Marcinkowskiego nr. 1) i wydają „Świt“, miesięcznik popularny i poświęcony walce z alkoholizmem. Walka na tym terenie należy bodaj do najcięższych ze względu na materjalną i społeczną siłę czynników, ciągnących zyski z postępującej alkoholizacji społeczeństwa.

W Krakowie powstała w listopadzie 1925 r. t. zw. Centrala Kół abstynenckich młodzieży i promieniuje bardzo daleko, tworząc cały szereg nowych kół abstynentów. Siedziba Centrali—Kraków, Krupnicza 29. Centrala wydaje miesięcznik „Wiadomości Abstynenckie“.

We Lwowie sprawa przedstawia się niewesoło. Pod przewodnictwem ks. Jana Ciemnińskiego istnieje tam jeszcze od czasów przedwojennych „Związek księży abstynentów“, okazujący bardzo małą żywotność. Jest tam także sekcja antyalkoholowa przy miejscowym Tow. Higienicznym. Pracy realnej bardzo niewiele!

W Wilnie założono niedawno oddział warsz. Towarzystwa „Trzeźwość“. W Łodzi Magistrat położył na polu walki z alkoholizmem pewne zasługi, tworząc Sekcję antyalkoholową i ogłaszając kilka poważnych publikacji opartych na miejskim materjale statystycznym. Tym badaniom statystycznym poświęcili wiele pracy dr. Skalski Stanisław i p. Edward Rosset.





Wspomnieć jeszcze należy o kongresach antyalkoholowych, z których jeden odbył się w Warszawie w r. 1919, drugi w Poznaniu w 1923, i ostatni w Katowicach w r. 1925. Poza tem cały szereg pogadank, wygłaszanych przez gorliwych apostołów trzeźwości, uświadamia coraz szersze koła o konieczności zerwania z trucizną, niszczącą ciało i wartości psychiczne człowieka.

Na zakończenie wskazać należy na brak jakiegokolwiek lecznicy, szpitala, czy sanatorium dla chorych na psychozę alkoholiczną. Przychodnie są tylko wielce niedostatecznym półśrodkiem. Dla skutecznej kuracji alkoholika niezbędny jest zakład zamknięty: odosobnienie, izolacja, niemożność zdobycia za jakąkolwiek cenę ulubionej trucizny. Otóż takiego

zakładu niema w całym Państwie, a zwykle zakłady dla chorych umysłowo nie dają dostatecznej gwarancji, że chory alkoholu pod żadnym warunkiem nie otrzyma. Ojcowie Kameljanie w Tarnowskich Górach na Śląsku prowadzą coś w rodzaju takiego zakładu, ale niemiecki ten zakon nie cieszy się zaufaniem w Polsce i działalność jego się nie rozwija.

Należałoby koniecznie pomyśleć o stworzeniu takiej instytucji.

Gorąco nawołujemy nasze czytelniczki do zapisywania się do towarzystw trzeźwości i do korzystania z ich wskazówek w życiu domowym, w wychowaniu dzieci, w stosunkach towarzyskich.

Alkohol jest wrogiem rodziny. O tem zapominać nie wolno.

H. C.

## PRZYSPOSOBIENIE KOBIET DO OBRONY KRAJU



artość i przyszłość państwa i narodu zależy w pierwszej linii od uruchomienia i właściwego wykorzystania wszystkich jego sił twórczych i żywotnych. Dzieje Polski dają pod tym względem wiele bolesnych doświadczeń, niejednokrotnie bowiem

własnie brak uświadomienia i wyrobienia obywatelskiego szerokich mas, brak przygotowania całego społeczeństwa do twórczej współpracy dla dobra państwa i jego obrony, był główną, jeśli nie jedyną, przyczyną naszych klęsk i upadków.

W dzisiejszym niezwykle trudnym przełomowym momencie dziejowym — młode państwo polskie, aby stanąć możliwie szybko na odpowiednim poziomie potęgi zewnętrznej i wewnętrznej — musi się oprzeć na siłach wszystkich swych obywateli i żądać od nich maksimum wysiłku i wydajności. Kobiety, zwłaszcza kobiety Polki, reprezentują tak poważny zasób energii społecznej, że zaniedbanie i marnowanie tego czynnika — byłoby wielkim błędem.

Proces wchodzenia kobiety w coraz nowe dziedziny życia społecznego i państwowego odbywa się zresztą stale i zasadniczo, coraz mniej spotyka sprzeciwów — jako proces zupełnie naturalny i zrozumiały.

Nasuwają się jedynie pewne zastrzeżenia tu i owdzie co do tych działów służby państwowej, które dotychczas były wyłącznym monopolem mężczyzn.

Mam na myśli udział kobiet w służbie wojskowej. W sprawie tej niema dotychczas dostatecznie skryształizowanej opinii — nie tylko wśród szerokich mas społeczeństwa, ale wśród sfer kierowniczych, a nawet i samych kobiet. Służba wojskowa wydaje się wielu czemś najzupełniej przeciwnem naturze i uzdolnieniom kobiecym, pomimo iż w pamiętnych latach wojny z Ukraińcami i najazdem bolszewickim kobiety wykazały, że potrafią oddać ogromne usługi i że są naogół bardzo dobrym materiałem nie tylko w służbie pomocniczej sanitarnej, kancelaryjnej, łączności i t. p., ale nawet i w służbie liniowej.

W czasie wielkiej wojny państwa zachodnie nie zawahały się w krytycznym momencie powołać

przymusowo kobiety do pomocniczej służby wojskowej, — Polki przez nikogo nie zmuszane, samorzutnie w chwili grożącego ojczyźnie niebezpieczeństwa pośpieszyły ku jej obronie.

Zadanie swe spełniły zaszczytnie i niewątpliwie w przyszłości stawia się zawsze, ilekroć zajdzie tego potrzeba.

Nie trzeba też chyba przypominać, że nasza sytuacja międzynarodowa każe się spodziewać, iż okazji im do tego nie zbraknie.

Czyż więc nie lepiej, że w tym krytycznym momencie stanowią kadry odpowiednio już przygotowane i wyszkolone fachowo?

Tę właśnie pracę zapoczątkował u nas zalegalizowany przez władze w listopadzie 1924 r. „Komitet Społeczny Przysposobienia kobiet do obrony kraju“.

Zadaniem komitetu, w skład którego wchodzi delegatki kilkunastu organizacji takich jak: Czerwony i Biały Krzyż, Koło Polek, Kat. Zw. Polek, Sokół, Strzelec, Harcerstwo, Koło Mieszczanek etc. jest przygotowanie rezerw kobiecych przez prowadzenie systematycznej pracy wśród młodzieży żeńskiej. Po otrzymaniu w jesieni ub. roku zezwolenia min. oświaty — Komitet przystąpił do tworzenia na terenie szkół średnich i Seminarjów żeńskich t. zw. hufców szkolnych. Dziewczęta, począwszy od 6-ej klasy gimnazjalnej, zapomocą odpowiednich ćwiczeń fizycznych, wycieczek z uwzględnieniem terenoznawstwa i najogólniejszych elementarnych wiadomości z dziedziny sztuki wojskowej, — otrzymują pewne ogólne przygotowanie, które da im podstawę do dalszego szkolenia się fachowego na kursach specjalnych, aby w razie wojny mogły być nie tylko tym idealnym czynnikiem, podnoszącym ducha w szeregach walczących, ale umieć w zmiennych losach wojny dawać sobie radę, obronić skutecznie i umiejętnie samą siebie i tych, którzy jej opiece będą powierzeni, — słowem stać się naprawdę pożyteczną i konkretną siłą pomocniczą walczącej armji.

Liczba ćwiczących się dziewcząt na terenie Warszawy wskutek braku instruktorek kobiet jest narazie dość skromną wynosi bowiem zaledwie 200, Komitet jednak czyni wysiłki, aby w najkrótszym czasie przygotować odpowiednie siły kierownicze,



Sposobność do tego nasunie się przy organizowaniu obozów letnich przysposobienia wojskowego, które w tym roku w liczbie trzech zgrupować mają na terenie D. O. K. Grodno około 300 uczestników.

Miejsce na obozy upatrzone w okolicach Landwarowa. Jeden z nich będzie obozem II stopnia, t. zw. instruktorskim, dwa drugie — obozami I stopnia. Pobyt w obozie zasadniczo jest bezpłatny, gdyż utrzymanie dostarczają władze wojskowe. Dla polepszenia wiktów uczestniczeki składają na kursach 1 stopnia 60 zł.; na kursie 2-go stopnia 30 zł.

Na kurs instruktorski wymagana jest od kandydatek matura i świadectwo z ukończenia kursu 1-go stopnia, lub odpowiadni egzamin.

Na kurs stopnia 1-go przyjmuje się kandydatki

z wykształceniem co najmniej 6 klasowym w wieku od lat 18 do 30.

Szczegółowych informacji udziela Biuro Komitetu Krak. Przedm. 99, tel. 102-35.

Niewątpliwie obóz przedstawia dla uczestniczek duże korzyści, zarówno pod względem fizycznego zahartowania, jak i zdobycia pewnej tężyzny moralnej i przyzwyczajenia do sprawności, do znoszenia trudów i niewygód, karnością, która jest szkołą woli, poświęcenia osobistej swobody dla idei.

Jest więc wprost jako czynnik pedagogiczny — dodatniego znaczenia. Poza to zaś zapominając nie należy o starej prawdzie, że powszechne pogotowie obronne — przygotowanie całego społeczeństwa do wojny jest dla nas najpewniejszą gwarancją pokoju i bezpieczeństwa.

Zofja Guzowska.

## Z AKTUALNYCH ZAGADNIENÍ PRYWATNEGO SZKOLNICTWA



Nauczycielstwo prywatnych szkół średnich uchodzi od kilku lat za warstwę uprzywilejowaną; prywatnie oraz publicznie słyzy się wciąż o niebywale wysokich pensjach nauczycielskich.

Dlaczego? Skąd? Gdzie źródło tej opinii?

Wysokie wpisy — 720 zł. rocznie za jedno dziecko. (Zresztą suma ta w ciągu b. r. szkolnego z powodu spadku złotego i wzrostu drożyny straciła już nieco ze swej wartości).

Zbliża, to uprzywilejowanie nauczycielstwa wygląda jednak mniej różowo. Zapomina się przede wszystkim, że szkoły nie są własnością nauczycieli i że po opłaceniu ich pensyj pozostają sumy dochodzące (w zależności od ilości uczniów w szkole) do dziesiątków tysięcy złotych, które wpływają do kasy właściciela szkoły.

Pensje zaś nauczycieli wahają się od 200—600 zł. miesięcznie. Jeżeli który z nauczycieli zarabia ponad 600 zł. dzieje się to kosztem jego zdrowia i nerwów, bierze bowiem na siebie nadmierną ilość lekcji.

A praca nauczyciela jest bardzo wyczerpująca — nie różnowiąc się nerwowo dochodzące do zdziwienia, to jego choroba zawodowa.

Od czasu wojny zmieniło się w płacach nauczycielskich tylko tyle, że pensje zbiorowe ustala komisja, złożona z nauczycieli, przełożonych szkół i rodziców. Nienormalny i niemoralny stan rzeczy z przed wojny nie da się już przywrócić. Wtedy bowiem działo się w szkołach prywatnych tak, że „kapłani”, zwłaszcza zaś „kapłanki” szczytnego zawodu dosłownie umierali z głodu. Były wypadki takiej nędzy, że nauczycielki mdlały z głodu

du podczas lekcji. Dla okraszy i reklamy miała każda szkoła parę rodzynków w postaci nauczycieli wykształconych, ba! nawet sław naukowych, którym płacono według norm wysokich.

Chociaż pod tym względem zmieniło się w szkolnictwie wiele, szkoła prywatna jest i zawsze pozostać musi w dużej, bardzo dużej mierze przedsiębiorstwem dochodowym i jako takie pragnie osiągnąć maksimum zysku. W jaki sposób daje się to uskutecznić, skoro płace są w zasadzie jednakowe?

Zasadnicza pensja nauczyciela wynosi niewiele ponad 200 złotych miesięcznie. Rośnie ona w miarę lat przepracowanych, a więc zdobytego doświadczenia pedagogicznego (trzylecia), oraz wzrostu rodziny, czyli obowiązków. Ten paragraf w umowach nauczycielskich, który wypłynął z słusznej zasady, że nauczyciel z większą praktyką jest siłą lepszą, stał się właśnie przedmiotem spekulacji dla właścicieli szkół i zwrócił się nie tylko przeciw starszemu nauczycielstwu, ale przynosi nieobliczalne szkody samemu szkolnictwu.

Co roku na wiosnę szkoła angażuje sobie na nowo cały personel. W każdym innym zawodzie pracownik jest pracownikiem mniej więcej stałym t. zn. że jeżeli się go chce oddalić, trzeba mu wymówić.

W zawodzie nauczycielskim, tym „szczytnym”, gdzie chodzi o „wychowanie przyszłych obywateli” i t. d. i t. d., gdzie równowaga nerwowa i duchowa pracownika jest czynnikiem niezmiernie ważnym, nauczycielstwo co roku na wiosnę odpada ze szkoły, jak te zwiedle liście na jesieni z drzew.

Właściciele szkół często bardzo rugują w ostatnich latach masę nauczycieli z długoletnią praktyką, jako droższych i angażują na ich miejsce siły zupełnie młode





i niewyrobione. Ogólnie znane, bogate szkoły, posiadające w swych murach do 1000 uczniów, powierzają studentom nauczanie ich i wychowywanie.

Mówi się o tem zresztą otwarcie, jako o zjawisku całkiem naturalnem. Kiedy przed wojną nie mógł się dostać do lepszej szkoły nauczyciel młody bez praktyki, dzisiaj stosuje się to do nauczyciela z praktyką. Naturalnie, że stały dopływ do szkoły sił nowych jest konieczny — niech się wyrabiają, aby zastąpić ubywających, ale dzać się to powinno pozwoli i ogłędnie. Szkoła nie może wchłonąć bez szkody dla siebie więcej, niż jednego początkującego nauczyciela w ciągu lat kilku. Przytem powinien on znaleźć dobrego i dbałego przewodnika i kierownika w osobie dyrektora.

To, co dzisiaj obserwujemy, jest dla szkoły katastrofalne. Szkoła polska tworzy się dopiero po latach niewoli i jak się ukształtuje dzisiaj, taką pozostanie już przez długie lata. Do stawiania jej zrębów, do wypielęgnowania w chaosie amoralności powojennej nowego ideału wychowawczego, do stworzenia właściwych metod pracy należało w pierwszej linii powołać wszystkich tych, co najbardziej i najdłużej nad tem pracowali, myśleli i niejednego doświadczyli. Tymczasem ci właśnie „weterani“ szkoły polskiej, którzy, narażając się, bronili jej przed zaborcą — ludzie idei zostają stopniowo usuwani.

Każdy nauczyciel, gdy porówna swoją pracę początkową z późniejszą, widzi ogromną różnicę na korzyść tej ostatniej. Praca, prowadzona z początku poomacku, staje się zczasem świadomą celów i środków. To samo zresztą dzieje się w każdym zawodzie, tylko że tutaj materiał, który może być zmarnowany, jest znacznie cenniejszy, niż każdy inny.

Poszukiwanie nauczyciela tańszego pociąga za sobą w konsekwencji częste zmiany personelu, a przecież jakże ważną jest ciągłość w pracy. Żeby nauczyć czołgo, żeby wychować klasę, składającą się z 50-ciorga dzieci, trzeba

umieć rozróżnić nie tylko twarze i nazwiska. Nawet młodzież narzeka już na te stosunki, nie rozumiejąc dlaczego zabierają jej nauczycieli, do których zaczyna się przywiązywać, których wymagania zaczyna rozumieć, pracę oceniać.

Te niezdrowe stosunki, ta rabunkowa gospodarka siłami nauczycielskimi, oraz rujnowanie samej szkoły, domagają się jak najspieszniejszej interwencji czynników miarodajnych — Ministerjum Oświecenia i Zrzeszenia Rodziców.

Stosunek Min. Ośw. do szkolnictwa prywatnego jest doprawdy zagadkowy. Podobno przed kilkoma laty któryś z organizatorów szkolnictwa rzucił tam hasło: „precz ze szkołą prywatną“. Hasło w zasadzie słuszne, o ileby szkoła prywatna miała być stopniowo zamieniona przez szkołę państwową. Ale realizowanie tego hasła w ten sposób, że się zamyka oczy na średnie szkoły prywatne, które w byłym zaborze rosyjskim stanowią 80% szkolnictwa, a opiekuje się tylko szkolnictwem państwowem, czyli 20% szkół, to jest stanowisko fałszywe.

Ministerjum Ośw. ma prawo i obowiązek bać, aby szkoła prywatna, której powierza wychowanie znacznej odłamu przyszłej inteligencji polskiej, nie z tytułu tylko mogła być istotnie pożyteczną placówką społeczną.

Niemniej zdumiewa, że z zupełną obojętnością odnoszą się do tych spraw Rodzice. Jeżeli jeszcze raz podkreślimy zasadę (tak dobrane rozumianą w praktycznej Ameryce), że im nauczyciel jest bardziej doświadczony, tem jest cenniejszą siłą pedagogiczną, tem mądrzej i głębiej potrafi dziecko zrozumieć i pokierować niem, jasnym się stanie, że Rodzice mogą i powinni bliżej zainteresować się szkołą, w której uczą się ich dzieci.

Od stanowiska Min. Ośw. i Rodziców w tej sprawie zależeć będzie w dużej mierze, zarówno poziom pedagogiczny, jak i moralny, prywatnego szkolnictwa średniego. *al.*



## JAZDA DO OKSYWJI

Koniec sierpnia roku 1925.

Dzisiaj odjazd z Oksywja... W sąsiedniej kuchni szykują mi posiłek na drogę.

W „moim“ pokoju (właściwie w stacji, odstąpionej mi na letnie wywczasy przez żonę cieśli i kościelnego w jednej osobie) uwija się córka mojej gospodyni, młoda, świeża, ładna, kaszubka. Grubokoścista, coś niecoś ze skandynawskiej niewiasty, ale oczy słowiańskie, błękitne, pięknie błyszczące młodością, cera - biel z pięknym rumieńcem.

Chwila drażliwa, denerwująca: chciałoby się nic nie zostawić swojego i nie wziąć przypadkiem, czy zamienić rzeczy cudzych, a pokój zastawiony sprzętem i drobiazgami gospodarzy.

Ruchy młodej dziewczyny przedziwnie celowe. Zręcznie, wprawnie układa w koszu przygotowane

przezemnie książki, bieliznę, odzież. Mocno, a bez wysiłku dociska sznury, klęcząc. Ostatnie rzuty ręki i oczu...

Najostatniejsze puzdreczka wciskają się między miękkie tkaniny.

— I to też? pyta szybko. Szło tu o okrągłe niepozorne pudełeczko i dwie siwe torebki. Do głębi zażenowana mówię:

— Ale chyba będzie do wagonu za ciężkie! Nie zmieści się! Trudno mi się jednak rozstać z kamkami, muszelkami z nad morza. Takie ładne kształty. To, jak jajeczko, to zupełnie serduszko, a to też prześliczny otoczak! Na tamtym najwyraźniej odcina się sylwetka Napoleona w charakterystycznym kapeluszu. Na niektórych odciski maleńkich muszelek. Kolory różne, Niektóre kamki zu-



pełnie guma do wycierania atramentu: i kształt, i barwa, i wielkość. Na Prima Aprilis robiłyby po szkołach furorę.

Wstyd mi mej słabości przed Marią, ale ach... odetchnęłam, potrafiła to gdzie jeszcze umieścić.

I pojechały moje skarby pomorskie do Warszawy. W chwili, kiedy to piszę, leżą przedemną na stoliku 2 spore kamienie z Oksywja. Pełnią funkcje przycisków. Jeden otoczek spory, owalny, spłaszczony, różowawy, drugi nawet niekształtny, ale sterczą w nim szczątki 2 łodyżek. Wodorosty odłamały się już dawno, ale z niego wyrastały i... dotąd rozstać mi się z kamieniami... trudno. Z ukochanego Pomorza przecież, najcudniejszego kąta Ziemi Polskiej, gdzie przepych bezkresu morza i cuda Średniowiecza i Odrodzenia — Gdańsk. Przyznały mi się na plaży przygodne znajome, że i one naznosiły do domu kamyków. A potem: te ładne, a te jeszcze ładniejsze — chciałoby się wszystko zabrać... W ostatniej chwili wybiera się z pięknych najpiękniejsze, najosobliwsze. A muszelki? Bielusie, leciuchno różowawe, bombiaste, w drobnusie karbki. A te wąziutki czarne, trójkątne prawie?

Kamień z wyrastającym zeń długim, długim wodorostem, toż to curiosum dla bliskich w Warszawie!

Lecz kamienie miewają czasem i barwy sztuczne. Ot tuż na brzegu morza, na tej grupie wielkich, takich zwykłych głazów jaskrawa zieleń, błękit. To malarze próbowali farb. Patrzy się tu bowiem codziennie na wytrwałą ustawiczną walkę tak licznych w cichem poetycznym ustronnem Oksywju artystów i artystek... z morzem. Tkwią tu latem ze sztalugami, czarnymi aksamitnymi beretami, żonami i nie żonami — modelkami.

Przychodzą wykraść zatoce fiolet kołków rozbijacza fal (brise-lames), widnych u brzegu morza poprzez tafłę zielonawej wody, to znów chcą pochwycić brązowo-żółta czerwień, czy czerwoną brązowość żagla w oświetleniu zachodzącego słońca, czy migotliwość srebrnej fali w słoneczne południe...

Burze jesienne obmyły te kamienie z plam im obcych, ale różnobarwne, różnokształtne kamyki, muszelki, wodorosty w dalszym ciągu znów mamieć, nęcić beda nad Bałtykiem, a przedewszystkiem zaciekawiać nowych przybyszów ze wszystkich dzielnic Polski. Jakie ich miana? bo o to cywilizowanemu człowiekowi przedewszystkiem tak bardzo idzie. Co one zacz? A ruchy fal czemu takie, a nie inne? A mewy? Okrągłe główki sterczą ponad wodą niczem ludzkie. A kołvszą się tak rytmicznie na fali! A takie żarłoczne! Raz są, to znów ich niema długo! Takby się chciało coś więcej o ich obyczajach posłyszeć. A dziwaczne flondry, wegorsze, dorsze? I czwś przemiła skautką, czy dzielną gosposią i mamią, czy poważnym statystą, czy sławnym aktorem — tyle godzin dziennie spędzając w sąsiedztwie tych cudów przyrody, bliższego poznania ich nie możesz nie zapragnąć...

Bułyby najlepiej, żeby jacy medrcy — wedrowce, siadłszy na brzegu morza, lepiej obyczajem letników

wyciągnawszy się na brzuszku, czy boczkim, w coraz to innym kącie plaży wyjaśniali pojedynczym gromadkom, czemu to morze taką, a nie inną barwą się mieni? Ile to procent soli, a ile znów czego innego w naszej Puckiej zatoce woda zawiera i do jakiej grupy Słowian Kaszubów zaliczać nie należy i t. d. i t. p.

Ale tylko o naszym morzu, nie o morzach, oceanach zaraz, cieśninach, przesmykach, florze, faunie morskiej świata całego. Ot! pragnie się zaspokojenia tej zwyczajnej ludzkiej, szlachetnej jednak ciekawości, chęci zrozumienia tego, co się naokoło dzieje. A czy nie budzi zainteresowania budowa portu? A ruch morski handlowy polski? A przeszłość Gdańska. A sztuka jego? Ustrój polityczny? A dzieje Cystersów? Oliwa? Organy oliwskie?

Prawda, dzieła specjalne o tem są. Ale na tyśiąc osób jedna bierze ze sobą z domu coś w związku z Pomorzem, choćby ks. Kruszyńskiego „Stary Gdańsk i jego sztuka“ i t. p. Broszureczki, przewodniki, które otrzymać można w księgarni w Gdyni, czy Ruchu zaostrażają ciekawość dopiero.

Nad brzegiem morza do małych grupek przemawiać nie można kolejno, ale tak łatwo wieczorem, kiedy już niezdrówo nad morzem dłużej siedzieć, tak bardzo łatwo dałoby się zgromadzić letników w którejś z licznych sal miejscowych na godzinny odczyt. Czyż mało w Gdyni, na Helu latem uczonych, umiejących popularyzować, bo o takich idzie? Bodajby tylko zechcieli się trzymać ram, zainteresowań, wzbudzanych Polskim Pomorzem, tym przerozkoszonym szmatek naszego kraju.

A uniwersytety regionalne latem dla nauczycieli funkcjonujące? Prelegenci ich, profesorowie uniwersytetów letnich z Pucka, Wejherowa i t. p. mogliby zjeżdżać do Gdyni, czy na Hel od czasu do czasu. Na dancingach — tyle młodzieży i na pogawędce naukowej wśród słuchaczy ich nie zbraknie...

I marzy mi się kiosk nieduży na brzegu morza, a w nim kolekcja minerałów z plaży, muszel.

Taki każdej chwili każdemu dostępny kącik — nie muzeum zamknięte, płatne, uroczyste...

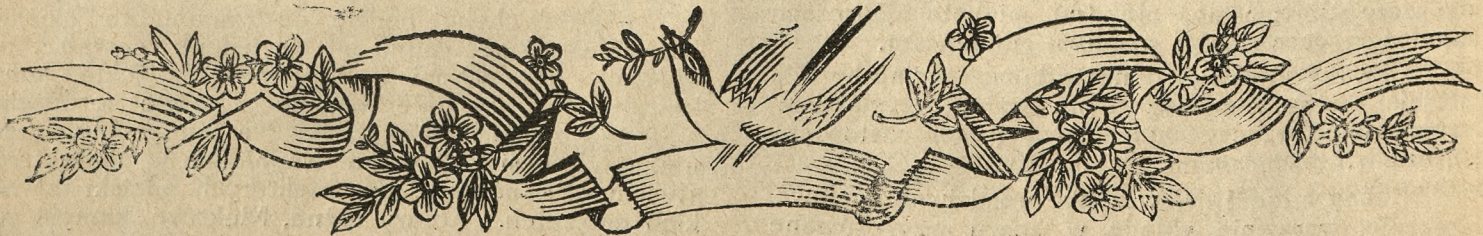
Panna Działia z panem Stachem, śpiesząc na tennisa z raketami w ręku, zatrzyma się na chwilę: „O taki sam, widzi pan, kamyk! Tak samo błyszczący! To mika! A te nasze muszelki z nad jeziora Żarnowieckiego taką szumną łacińską mają nazwę!“

Takbym pragnęła, żeby zechciały o tem wszystkim pomyśleć instytucje, działające na Pomorzu! Stoimy u progu sezonu, maj dopiero.

Już słyszę jedną odpowiedź: Ależ te, czy tamte studia specjalne jeszcze niepokojące? Zbytne skrupuły w swoim dziale rozkochanych specjalistów.

Należy dać odpowiedź na pytania, tłoczące się w danej chwili, bo człowiek, to wieczne dziecko, które, jeśli mu raz i drugi nie odpowiedzą na interesujące pytanie, zwykło myśleć: „To za trudne dla mnie, niedostępne!“ i... o wiele rzeczy nie zapyta potem... A szkoda!

Józefa Gażyńska.





## TRZECHSETLECIE PANI DE SÉVIGNÉ

W tym roku Francja obchodzi trzechsetną rocznicę urodzin tyle wspaniałej pisarki pani de Sévigné, t. zw. „boskiej markizy”. Rocznice upamiętni luksusowe, bogato ilustrowane dzieło („La Marquise de Sévigné” éditeurs M. et J. de Brunoff), wydane na jej cześć, zaś w muzeum Carnavalet dawnej rezydencji pięknej pani można oglądać wystawę pamiątek czy to rodzinnych, czy związanych z daną epoką.

Wystawa umieszczona w budynku środkowym, którego piękna renesansowa architektura sięga XVI w., w komnatach, zamieszkałych dawniej przez panią de Sévigné, przenosi nas całkowicie w tamtą, odległą epokę.

Na wstępie wita nas cały szereg portretów samej markizy: ze złoconych ram wychyla się uśmiechnięta blondynka, o pięknych, iskrzących się wesołością oczach, olśniewającej cerze i pozwijanych w pukle jasnych włosach, rysy nie są zbyt regularne, kształty postaci raczej pełne — przedewszystkiem uderza bystrość spojrzenia i urok uśmiechu.

Następnie poznajemy podobizny osób z jej najbliższej rodziny, jako też przyjaciół i znakomitości epoki. Sporo autografów pokazuje nam energiczny i zamaszysty charakter jej pisma, sztychy zamku des Rochers oddają przyrodę jej wiejskiego otoczenia, a drobne przedmioty codziennego użytku i pierwsze wydania „Listów” ożywiają wspomnienia.

W dzień urodzin markizy prezydent Doumergue zwiedził jubileuszową wystawę; gazety dowcipnie komentowały tę wizytę, twierdząc, że trzechsetna rocznica urodzin, to wiek, którego się już najpiękniejsza kobieta nie może wstydzić, że więc krok prezydenta nie uchybił w niczem solenizantce.

Aby zrozumieć sławę, którą dotychczas piękna markiza cieszy się wśród rodaków, trzeba wziąć pod uwagę oprócz jej talentu, epokę, która stanowiła tło dla zalet jej umysłu, a mianowicie najświetniejsze lata panowania Ludwika XIV.

Marja de Rabutin Chantal markiza de Sévigné była jedną z kobiet, które przyczyniły się do rozkwitu kultury wykwinu i oglady życia towarzyskiego owego okresu.

Po długoletnich wojnach religijnych i nieustannych zamieszkałach wewnętrznych kraj odzyskał spokój w obrębie granic państwowych. Całą władzę skupił w swym ręku młody monarcha i potrafił zaraz na wstępie zyskać uległość krnąbrnych magnatów. Do królewskiego dworu napłynęły całe zastępy najprzedniejszych przedstawicieli szlachty, którzy, zaniechawszy sporów, rywalizowali w światowej oglądzie i elegancji.

Dwór Wersalski dawał przykład, promieniując daleko, aż poza granice Francji, Paryż, wpatrzony w króla, na nim się wzorował.

Dominującą była rola kobiet w tych warunkach.

One to, opuściwszy sklepienia swych feodalnych zamków, zjechały do stolicy, aby przydykować zebrańniom towarzyskim; one to zaczęły tworzyć i urabiać styl, modę i język epoki. To co obecnie istnieje jeszcze z wykwinnych salonów, to jedynie marna karykatura tamtych czasów, żalosne naśladownictwo.

W muzeum Carnavalet oglądamy kolorowe, haftowane fraki i kędzierzawe peruki mężczyzn, przedziwnie bogate stroje i koafjury dam, tysiączne szczegóły ozdób, klejnotów, przepych tkanin, mebli,

lektyk, a w tem wszystkiem odczuwamy samorzutny kształt piękna danego okresu.

Epoka Ludwika XIV uczyniła Francję królową mody i dobrego smaku, wykształciła giętkość i lekkość języka franc., który przez następne wieki niepodzielnie panował w salonach całej Europy i stał się językiem dyplomacji. Pamiętać także należy o tem, że sfery arystokratyczne ówczesnej Francji, świetni potomkowie rycerzy krzyżowych, stanowili faktycznie naówczas czoło narodu, jego siłę, rozum, piękno. Ogląda towarzyska nie była formą, przykrywającą pustkę, lub ograniczenie, ale szła w parze z bogatym życiem umysłowym i artystycznym.

W tem również naśladowano króla — protektora wszystkich talentów, który umiał mocą swej potężnej indywidualności nadać twórczości ówczesnej wspólny charakter harmonii i praworządności.

Ubodzy poeci byli przyjmowani w salonach narówni z magnatami, umiano odkryć, ocenić i poprzeć talenta, toczono namiętne spory na temat dzieł Racine’a, lub Molière’a, rozprawiano o metodzie krytycznej Boileau, poezji Lafontaine’a, filozofji Kartezjusza. Ubiegano się o genjuszów epoki, oni to stanowili najcenniejszą ozdobę świetnych przyjęć.

Pani de Sévigné została wdową, licząc zaledwie 25 lat, mąż jej, przedstawiony na minjaturze, jako śliczny młodzieniec w jasnych kędziarach bujnej peruki, ukochany przez żonę, niewierny i lekkomyślny, zginął w pojedynku, zostawiając dwoje drobnych dzieci. Po upływie żałoby opuszcza młoda wdowa swój zamek w Bretanii i przenosi się wraz z rodziną do Paryża. Szczęśliwa była chwila, w której ukazała się na horyzoncie wielkiego świata, młody król dobiegł pełnoletności i cały szereg uroczystości uświetnił pierwsze samodzielne kroki jego panowania. Odtąd rozpoczyna się też karjera p. de Sévigné, salon jej staje się jednym z pierwszorzędnym ognisk życia towarzyskiego i umysłowego, wszystkich „wielkich” epoki znajdujemy u stóp „boskiej markizy”.

Na czem polegał jej władczy urok? Sądząc po malarskich i literackich portretach zalety jej umysłu musiały przewyższać piękność linii i form, zaś lekkość dowcipu i urok obejścia zniewalać każdego, który się do niej zbliżał. Pozatem posiadała markiza zalety, znane nam z listów do przyjaciół, a przede wszystkim z długoletniej korespondencji z córką panią de Grignan. Opinia uczciwej kobiety towarzyszyła p. de Sévigné przez ciąg całego życia, pomimo hołdów nie byle jakich wielbicieli.

Jednym z nich był Mikołaj Fouquet, potężny administrator finansów państwowych, którego stronnicy dawnej Frondy wysuwali na miejsce zmarłego kardynała Mazarin. Portrety jubileuszowej wystawy oddają nam jego ostre rysy, wąskie usta i przenikliwe świdrujące oczy. Fouquet zajmował najwyższe stanowisko po młodym królu i marzył tajemnie o zawładnięciu monarchą, którego utajonej wielkości i niezłomnych ambicji nikt jeszcze nie przypuszczał. Minister finansów był człowiekiem niepospolitych zdolności, sławnym z elegancji, wesołości, dowcipu; krążyły legendy o jego zaczarowanym zamku de Vaux i parku o tysiącu wodotryskach, niezliczonych awanturach miłosnych i bajecznej wprost rozrzutność. Uwielbienie Fouquet’a dle pani de Sévigné było długotrwałe i namiętne, piękna pani musiała,



się trzymać na baczości wobec tej szalonej głowy, gdy zaś młody król położył rękę na niebezpiecznym dostojniku i skazał go na wieczyste więzienie za dokonane defraudacje finansowe — kilka przyjacielskich listów markizy, odnalezionych wśród stosów miłosnej korespondencji ministra, rzuciły na nią również cień niełaski.

Pomimo to pani de Sévigné broniła odważnie dobrego imienia przyjaciela i, opisując w listach do kuzyna cały proces pokonanego tytana, podziwiała dostojność jego zachowania.

W promieniach jej wdzięków i wpływów znajdował się również Wielki Kondeusz, sławny Turenne, minister markiz de Pomponne, hrabia de Lude i wielu innych. Markiza lubiła odbierać hołdy i wywierać wpływ na znakomitych ludzi. Mężowie stanu, dyplomaci i wojownicy znajdowali w niej rzadkie połączenie mądrego przyjaciela pod postacią uroczej kobiety.

Rozstanie matki z córką, po zamążpójściu tej ostatniej, wydało cenny zbiór „Listów“, z których poznajemy najlepiej indywidualność autorki na tle życia paryskiego, skrzącego się barwami tęczy.

Listy owe ujęte w gładką formę wybornego stylu, przytem naturalne, dowcipne i bezpośrednie,

przesuwają przed naszymi oczami całą galerję tyków, tych samych, które Molier żywcem nieomal brał na bohaterów swych komedij; opisują nam owe listy tryb życia dworskiego, wypadki polityczne, zdarzenia towarzyskie i literackie, uroczyści dworskie, głośnie procesy... a cały blask tego istnienia koncentruje w sobie i odbija na swych wiernych poddanych „Król — słońce“

Nas, których 3 wieki dzielą od epoki Ludwika XIV, dziwi beztroska tego wykwintnego bytu, na który z oddali pada już cień Wielkiej Rewolucji.

Niezwykle kwiaty ówczesnej kultury wzrastały na gruncie użyźnionym zgnębioną i zdeptaną niższą warstwą społeczną.

Piękna Markiza de Sévigné, która uśmiecha się do nas z pośród kwiatów i klejnotów na portretach muzeum Carnavalet, nie przypuszczała, że kiedyś zapomniany niewolnik upomni się o swoje ludzkie prawa i dokona krwawej zemsty, że w perzynę pójdą odwieczne zamki i drogocenne zabytki sztuki, zaś pod nożem kata padną wypieszczone, wymuskane głowy jej bezbronnych potomków... jak nie przypuszczała również, że z płomieni zemsty ludzi ocaleje na pożytek dalszych pokoleń zbiór jej uroczej korespondencji.

M. Czapska.

HANNA MORTKOWICZÓWNA.

## TWOJE RĘCE

*Wiem, jak pod prężną skórą gra w nich każde ścięgno,  
Jak blady błękit żyłek matową biel plami.  
Ach już mnie nie zagarną, już mnie nie dosięgną  
Swemi wydłużonemi, mocnemi palcami.*

*W potrzask splecionych dłoni szczęścia nie pochwycą  
I czoła nie utulą pieszczoty balsamem.  
Jakieś inne, bezsilne, chłodne, nie te same,  
Przyjdą ku moim rękom i moim żrenicom.*

*Utraciły moc szponów, co w duszę się wwierca,  
Życia pod światło krwawą ścianą nie przestonią.  
Pytasz mnie, co się stało? — Nic. — Wczoraj tym dłoniom  
Odjęłam ciepły drżący ciężar mego serca.*



M. SAPONARO

## „LALAGE”

Nie nazywała się Lalage i do ostatniej niemal chwili nie wiedziałem, jak się nazywa. A ochrzciłem ją tak, ujrawszy po raz pierwszy, bowiem dnia tego nuciłem, stojąc o zmierzchu w oknie, pełen melancholji wiersz:

Ja wiem, Lalage, co głębia serca twego kryje...

Byłem wówczas na ostatnim roku prawa i przygotowywałem się właśnie do egzaminów dyplomowych. Mieszkałem w Neapolu na trzecim piętrze, przy jakiejś boczniczy między ulicą Toledo, a Quantai. Lubiłem tę starą dzielnicę miasta, mogłem bowiem często słuchać w nocy syren statków, wpływających do pobliskiego portu, lub też odjeżdżających zeń; zdawało się, iż te wycia przeciągłe, a drżące i niemal błagalne wrywają mnie z cieśni artykułów i paragrafów, ekscypcyj i przepisów, regulujących efemeryczną rzeczywistość ludzką i unoszą wdal wraz z echem, ginącym pośród wielkiej zatoki sennej.

Lalage była to młodsza siostra gospodyni, od której odnajmowałem pokój: istota ledwo dorosła, a już figurująca na indeksie życia. Owego wieczora ujrzałem ją po raz pierwszy z okna: wychodziła z bramy domu krokiem zmęczonym, kierując się, bez jednego spojrzenia na stojących przy swych sklepach subjektów, ku wielkiej i głównej arterji miasta.

Widywałem ją też nieraz i w domu, i nawet zbliża, lecz zawsze przelotnie. I nie rozumiałem, nie wiedziałem, czy była dzieckiem—z wieku tylko, czy też i ze sposobu myślenia, naiwna, czy świadoma tego, co czyniła. Głos miała wesoły, lecz zmęczony, jak—ruchy i kroki.

Sypiała aż do popołudnia w pokoju, sąsiadującym z moim, i siostra jej, a moja gospodyni, przychodziła co wieczór prosić mnie, abym, wstając na zajutr<sup>z</sup>, nie hałasował, gdyż mógłbym zakłócić spokój śpiącej siostry—dziecka, jak mawiała. I ja, by nie zakłócić spokoju dziecka, stawałem się piórkiem.

Lecz one—ani siostra starsza, ani młodsza—nie miały zgola względów dla moich studjów. Lalage, opuściwszy wreszcie popołudniu łóżko, krążyła hałaśliwie po pokoju, wywołując podczas mycia istną burzę morską, a potem zaczynała się bitwa lądowa z krzesłami i stolikami. Starsza siostra nie interwenjowała. Później już jej nie słyszałem: Lalage wychodziła o zachodzie i wracała o świcie.

W końcu czerwca,—jak to zwykle bywa,—praca moja stawała się coraz intensywniejsza. Zdarzało się wówczas, żem siedział jeszcze pochylony nad stołem, a na dole rozlegał się stuk bramy i—zmęczone kroki na schodach. Bardziej jeszcze zmęczone, niż wpięw—przy wyjściu.

Kiedyś powróciwszy późno, zapytała mnie przez drzwi:

- O której ma pan jutro egzamin?
- O dziewiątej.
- I jeszcze pan nie śpi? Chyba pan nie kładzie się wcale tej nocy.
- Nie kładę się. Mniejsza o to.
- Chce pan filiżankę kawy?
- Dziękuję. Nie jestem już teraz śpiący.
- Ależ tak, przygotuję panu: mam tu maszynkę spirytusową. Jeśli pan sobie życzy.
- Naprawdę dziękuję.

Nie mówiła nic ponadto, być może nie znajdowała słów. Przez szparę w drzwiach dochodził tylko jej oddech. Potem rozlegał się znowu głos pełen perswazji:

— Proszę się położyć. Późno już: musi pan odpocząć. Ale prędko—raz, dwa, trzy...

Alboż też konkludowała: — Można już gasić światło, widno...

Istotnie świt czerwcowy wnikał blade przez szyby. Wstawałem, spoglądając na dzielące nas drzwi, zamykałem książki i gasiłem światło. Kładłem się zaraz do łóżka, i nadśluchiwałem, jak Lalage rzucała się z impetem na swe posłanie. Zdawało mi się wówczas, że widzę tuż na poduszce usta Lalage, których nigdy nie całowałem: nie wiem czemu—blade i bezbarwne, te usta, jaśniejące zawsze płomieniem karminu.

Starsza siostra wyprawiała często przyjęcia: spraszała znajomych i przyjaciółki młodszej na ucztę, trwające od dziesiątej wieczorem do drugiej po północy. Już od obiadu rozlegał się wówczas w pokojach łoskot przesuwanych mebli, które umieszczano w kuchni, pozostawiając w ten sposób wolne miejsce w salonie na tańce, w jadalni zaś—na wielki stół, zastawiony winami i zakąskami. Zaczynano jeść w milczeniu, lecz wkrótce rozlegał się coraz głośniejszy gwar głosów i śmiechów pośród huku otwieranych butelek, a wreszcie: muzyka, śpiewy, krzyki splątane i bezwstydnne.

W takich chwilach niepodobna było pozostać w domu. Wychodziłem wówczas powłóczyć się po ulicach, powracałem zaś, gdy przypuszczałem, że festyn już skończony: często jednak oświetlone okna mówiły mi, że niecierpliwosć swą brałem za nadzieję. Wracałem więc na Toledo i Quantai, lecz wreszcie, zdecydowany, zaczynałem wchodzić powoli na schody. Po drodze mijałem schodzących gości, chwiałych się i klnących, u góry zaś gospodyni poświęcała, witając mnie pełną serdecznością:

— Czemu też pan nie przyszedł? Pan nigdy nie chce przyjść, nie chce zrobić nam tego zaszczytu. Obrazimy się.

— Nie mogłem, doprawdy.

— Pan nigdy nie może, nigdy! Uczciwa zabawa, familijna. Niech dziecko ma rozrywkę. Nie wszystkie dni są jednakie i nawet Pan Bóg nie chce, aby się zameczać codziennie.

Wynurzenia te przerywała Lalage, mówiąc:

— Ależ myśmy zapomnieli zaprosić pana.

Starsza siostra protestowała: — To nic nie znaczy, pan jest domowym człowiekiem, nie potrzebuje zaproszenia: może wejść i wyjść, ilekroć chce. Przyjdzie pan następnym razem, prawda?

Odpowiadałem, że przyjdę kiedyindziej, lecz nie przychodziłem.

A któregoś wieczora Lalage zbliżyła się do mnie i przymrużywszy oczy, rzekła:—Paradna jest moja siostra! Powiada, że może pan wejść i wyjść, ilekroć zechce. Przecie drzwi zamknięte są na klucz.

Tego wieczora byłem roztargniony.

Starsza siostra zazwyczaj chwiała wspaniałomyślnie dobroć i wdzięk młodszej. Działo się to w obecności osób trzecich i w edy głos jej rozbrzmiewał radośnie, aby przez otwarte okna mogli ją usłyszeć sąsiedzi i mieszkańcy domu.



Słyszałem jednak niejednokrotnie głos ten, rozlegający się wśród nocnej ciszy: brzmiał sucho i ostro, niby uderzenia siekiery w młode i zielone drzewo.

— Nędznic! Coś robiła dzisiaj, co? Gdzieś była? Spacerowałaś sobie, przy pięknej pogodzie? Ty, bezwstydna!

Być może pod uderzeniem siekiery zielone drzewo wydawało jęki, ja ich jednak nie słyszałem.

— Myślisz, że ja będę zawsze twoją służącą? Że będę zamęczała się dla ciebie? Tak, dla ciebie, dla twych strojów, dla twych perfum! Umrzesz z głodu, zobaczysz!

Przysięgałem sobie, że któregoś dnia pomścę Lalage, że ją obronię i osłonię przed gwałtownością jej siostry i innych, któreby ją miały gnębić i maltretować. Lecz skończyły się moje egzaminy i trzeba było opuścić Neapol.

Ostatniego niemal dnia spotkałem ją na schodach. Lalage zatrzymała się, podając mi list: — Znalazłam go u portjera — dla pana.

I, zwróciwszy raz jeszcze ciekawe spojrzenie na adres, dodała:

— Pismo kobiece. List miłosny.

Był to tylko list od siostry, lecz ja zaczerwie

niłem się, jak gdybym otrzymał naprawdę list miłosny. Chciałem pójść z Lalage, otworzyć list i przekonać ją, że się myliła. Rzekłem tylko: — To pani otrzymuje zapewne wiele listów miłosnych...

— Ja?... Listy miłosne... Właśnie ja?... Ah, ah, ah... Zaśmiała się śmiechem urywanym, jak gdyby coś pękło wewnątrz niej, między sercem, a gardłem.

Czułem się zmieszany i, sam nie wiedząc jak, powiedziałem: — Nie chciałem pani dotknąć. Proszę mi wybaczyć.

— To nic, ale czemu pan sądził, że do mnie piszą listy miłosne?

Zanim pożegnaliśmy się na ulicy Toledo, zapytałem:

— Jak się pani nazywa?

— Nie wie pan jeszcze, jak się nazywam? Moje imię?

— Tak, pani prawdziwe imię i nazwisko.

— Nazwisko pan zna: Mariconda, a imię jest brzydsze od nazwiska: Anuncjata. Anuncjata — długie, starodawne, ciężkie.

Wkrótce wyjechałem. Lecz od tego dnia począwszy wysyłałem dwa razy w tygodniu anonimowe listy miłosne do panny Anuncjaty Maricondy.

Tłum. T. J



WANDA MIŁASZEWSKA

## GRANDE-GRILLE

Szkic powieściowy.

Nie było to imię ani piękne, ani stosowne dla istoty, zrodzonej z tak szlachetnych rodziców, a otrzymała je dzięki prostemu przypadkowi.

Zdarzyło się bowiem, że w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała światło dzienne i wciągnęła w maleńkie, aksamitne nozdrza miły, nieco amonjakiem zaprawny zapach stajenny, — baron siedział na ocienionej cytrynowymi drzewkami terasie pałacowej i z tępy, niezadowolonym wyrazem twarzy przyglądał się zgrubiałym w stawach palcom swej własnej ręki.

Właśnie przeczuwał nowy atak artretyzmu i przemyślał nad tem, w jaki sposób najszybciej wycisnąć z ziemi gotówkę, niezbędną do przeprowadzenia kuracji zagranicznej.

Narazie — było to marzeniem ściętej głowy, wobec nieściętych łąnów sandomierskiej pszenicy, która zaledwie poczynała kłosać, falując pod pieszczotą wiatru, jak morze zielone.

Jako jedyny symbol wszczętych zabiegów o chro-mające zdrowie, widniała na stole duża butelka z ciemnego szkła, opatrzona etykietą w języku francuskim. Właśnie baron kończył dopijać poranną porcję zbawczej wody, gdy na ścieżce, wiodącej od zabudowań gospodarskich, ukazał się masztalerz. Już o dwadzieścia kroków od schodów pałacowych zajął czapkę liberyjną, zaś o pięć kroków przystanął, chrząknął i z miną pełną respektu czekał, aż jaśnie pan raczy zauważyć jego niezwykłą o tej porze i na tem miejscu obecność.

Baron do ostatniej kropli wysączył lekarstwo, poczem odstawił szklanekę, odetchnął i spytał tonem łaskawym:

A, to Grzebyczek. Cóż powie.

Wówczas Grzebyczek, od lat dwudziestu czterech piastujący godność masztalerza przy pałacowej stajni, wyprostował się jeszcze bardziej i głosem nieco chrapliwym, świadczącym o pewnej dozie alkoholu, wchłoniętej przez organizm, odrecytował:

— Melduję jaśnie panu, że Adwenture ożrebiła się przed godziną. Matka i źrebię czują się zupełnie dobrze.

— Adwenture? — zastanowił się baron. — Po którym to ogierze?

— Ośmielę się przypomnieć jaśnie panu, że przeważnie po Bisurmanie.

Grzebyczek, poza mnóstwem istotnych zalet, miał dosyć zabawne przyzwyczajenie wtrącania od czasu do czasu słowa „przeważnie“, co w jego pojęciu czyniło styl bardziej kwiecistym, a w potocznej mowie dawało skojarzenie nieoczekiwane i często humorystyczne.

„Jaśnie pan“ uśmiechnął się dobrotliwie:

— Przeważnie, powiadasz? A jakie źrebię? Ogierek, czy kłaczką?

— Przeważnie... — masztalerz ugryzł się w język i przeklnął niefortunne słowo — kłaczką, jaśnie panie. Bardzo ładna kłaczką. Budowę wzięła po matce, a maść przeważnie po ojcu, chociaż to jeszcze trudno wiedzieć napewno. Ale gwiazdkę to ma na czole takusieńką, jak Adwenture. Morowa będzie kłaczką... przepraszam jaśnie pana, ale morowa. Żeby tak jaśnie pan sam się, przeważnie, raczył pofatygować do stajni...

Baron spojrział na klomb i pomyślał, że zamiast zwykłych dziesięciu kęgów, stanowiących przepisane



przez lekarza tysiąc kroków przechadzki, można również dobrze odbyć tę drogę w kierunku stajni, więc po małej chwile wahania skinął głowę na znak, że się zgadza i sięgnął po dzwonek, błyszczący na stole wypucowanym starannie mosiądzem. W drzwiach półotwartych ukazał się lokaj Antoni z kapeluszem i laską, oraz letnią zarzutką, przewieszoną przez ramię.

— Nie trzeba, ciepło dziś — rzekł baron — zresztą zaraz wracam. Tymczasem sprzątnij ze stołu i zanieś wodę do mojego pokoju, zanim nie nadejdą psy jaśnie panienki i nie stłuką butelki, jak w zeszły piątek.

— Słucham, jaśnie panie — rzekł lokaj, a baron ruszył w towarzystwie masztalera, który z uwagą stosował doń swe kroki, utrzymując przepisową odległość pięciu stóp pomiędzy pańską, a własną osobą.

Rzuciwszy okiem znawcy na klacz i nowonarodzone źrebię, rzeczywiście nadzwyczaj piękne, baron wracał powoli do pałacu. Głowę miał pełną cyfr, a myśli wirowały pod czaszką, jak roje wiosennych muszek. Ze wzrokiem wbitym w ziemię, z rękoma założonemi na plecy, baron kalkulował w pamięci, ile w przybliżeniu udałoby się wycisnąć od okolicznych żydków na rachunek przyszłej pszenicy.

— Sześć tygodni Vichy — obliczał — no i naturalnie w drodze powrotnej przyjdzie „zahaczyć“ o Paryż...

Wiedział z doświadczenia, że takie „zahaczenie“ wyluska mu z kieszeni dosyć poważną sumkę, no, ale ta pszenica...

— Mordko powinien się wystarać o dwa tysiące. Co to powinien! Musi i basta. Od tego szelma siedzi w miasteczku i zbija pieniądze, moje własne pieniądze. Sprzedam mu pszenicę na pniu, a w jesieni jakoś to się wylata. Urodzaj zapowiada się świetny. Zresztą — w październiku będą biegały Master Charlie i Sweet Lady. Na Charliego niebardzo liczę, ale Sweet Lady! O, ta weźmie z pewnością wszystkie pierwsze nagrody w biegach z przeszkodami. Skacze, jak sarna. Tak samo brała kiedyś najwyższe płoty Adventure, dopóki była młoda. Ha, teraz jest za to wyborną matką...

Przypomniawszy sobie nowo narodzone źrebię i pomyślał z zadowoleniem:

— Z małej będzie pociecha. Za dwa lata stanie już w krótkich biegach i będzie brała nagrody. Mogłbym ją sprzedać na jesieni hrabiemu Zenonowi. Zawsze mi zazdrościł tej Adventure... Gotów stono zapłacić za córkę...

Zawikłany stan finansowy jaśniej się zaczął przedstawiać oczom barona. Wchodząc po stopniach, pogwizdywał wesoło, na nutę jakiejś arjetki z Moulin Rouge:

— Pojadę sobie do Vichy! pojadę sobie do Vichy! Grande-Grille la li, Grande-Grille la la!

Młoda, śliczna baronówna Ludwika, zwana w rodzinie Luizą, piła właśnie kawę na terasie. Dwa wielkie angielskie dogi, barwy myszatej, legły poważnie u jej drobnych stóp, obutych jeszcze w poranne pantofelki, a zwinny, jak wiewiórka foksterjer, siedział naprzeciw w plecionym fotelu i bystreimi ocz-

kami śledził każdy ruch swojej pani, która od czasu do czasu krajała na czworo cienki plasterek wędliny i rzucała ulubieńcowi przez stół.

Na widok ojca panna cisnęła ostatni kawałek szynki wysoko ponad głowę ulubieńca, otarła paluszki w serwetę i odezwała się najcudowniejszym sopranem, słodkim i czystym, jak kryształ:

— Już papcio po spacerze? Ranny dziś ptaszek z papy! Myślałam, że tylko ja jedna z całej rodziny uprawiam przechadzki o świcie... Teraz, dopóki słońce nie świeci zbyt mocno, jest tak cudownie, tak cicho, ziemia tak pachnie...

Oczy jej wyrażały w tej chwili jeszcze więcej zachwyty, niż słowa, odmierzane powoli, niema, z rozwagą, by ich nie padło zawiele. Nagle cień niepokoju przesłiznął się po twarzy pięknej panienki. Spojrzała na ojca badawczo i spytała pośpieszniej:

— A gdzie to ojczulek wędrował, można wiedzieć?

— Zaszedłem na momencik do stajni — odparł baron, całując ją w czoło — chciałem obejrzeć córkę twej faworytki. Powiadam ci, Luizko, prześliznała klaczka! Co za łopatki! Co za maść! A jakie nogi O, ta będzie brała przeszkody lepiej, niż matka!

— Adventure! — wykrzyknęła baronówna, składowając ręce. — To córka Adventure i Bisurmana! O, papo... Trzeba obmyślić dla niej piękne imię! — Już zapisałem w książce. Nazywa się Grande-Grille.

Panna Luiza skrzywiła piękne usteczka.

— Grande Grille? Żartujesz chyba, ojczulku! Córka Bisurmana i Adventure, rodzona wnuczka Queen of Flowers? Prawnuczka samego Prince'a ma się nazywać Grande-Grille? Jak ta szkaradna woda w pękatej butelce, którą pijasz co rano, ojczulku?

— Spostrzegam z przyjemnością, że znasz genealogię końską nie gorzej odemnie; jesteś mą nieodrodną córką. Szkoda tylko, że mniejszą wagę przykładasz do twojej własnej. Baronówna Luiza, skoli-gacona z dworem austriackim przez matkę, której nazwisko błyszczy w almanachu gotajskim, oburza się na mnie za niestosowne imię dla rasowego źrebięcia, ale sama przebywa chętnie w towarzystwie jakiegoś pana Raczkę, czy Fraczkę, który przyjechał tutaj nie wiedzieć skąd, niewiadomo czym się zajmuje i którego rodowód nie sięga pewnie po za jedno pokolenie wstecz...

Przez małową twarz pięknej panny przeleciały płomienie.

— Przepraszam... nie rozumiem do czego zmierzasz, papo...

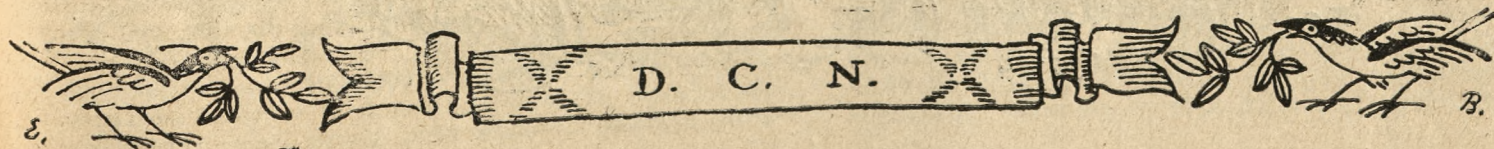
— Wiesz dobrze sama... Ten pan zupełnie mi się niepodoba. A to, że go chętnie widzisz...

— Widuję?

Baronówna wstała gwałtownie z krzeselka i, otulając się w ranny szlafroczek jak najszczelniej, rzekła zupełnie innym tonem:

— Zdaje się, żeśmy zeszedli na niewłaściwy temat, którego, pozwolisz papo, w tej chwili i na tym miejscu nie chciałabym poruszać...

— Co do czasu i miejsca, nie uważam, by były niewłaściwe. Natomiast twoje zachowanie, moja droga, twoje zachowanie, niestety...





Z. ZAWISZANKA

## CÓRKA BOGA

16

Po kilku szturmach, znówu odpartych, Dziewica sama zarządza wypoczynek.

— W imię Boże! — woła — wnijdziecie już wrychle! nie strachajcie się, Angielczyki zbawieni już mocy nad wami! A ninie pożywajcie i pijcie, iż-byście byli posileni...

Podczas, gdy oni jedzą, — ona trwa krótką chwilę na modlitwie, w zieloności i woni winnicy pobliskiej. Nagle, powstawszy z kolan, natchnione oblicze zwracając znów ku wrogowi, woła:

— Angielczyki ustają już! przystawiać drabiny!  
I rzuca się naprzód, jak płomień, z krzykiem:  
— Wszystko wasze! wchodźcie!!

Uczestnicy tego szturm opowiadali potem, że nie wiedzą nawet, jak i kiedy wdarli się na te nagie, ziejące żelazem mury — jakby ich jakaś moc nadludzka unosiła ponad ziemię. Widząc na wyłomie tę samą „czarownicę“ ze sztandarem, co przed chwilą pod ich ciosami, w ich oczach padła, jak martwa — Anglicy rzucają się do panicznej ucieczki.

A ona, zdjęta znówu przemożnym żalem nad pokonanymi, woła, głosem, przerywanym od łkania:

— Glassidas! Glassidas! poddaj się, poddaj się Królowi Niebios! Nierządnicąś mnie zwał... a mnie bardzo luto twojej duszy i dusz wszystkich twoich!...

W chwilę potem most zwodzony załamał się pod natłokiem uciekających, grzebiąc w nurtach Loary Glasdała i jego towarzyszy. Podczas, gdy obsadzano zdobytą fortecę, mieszczanie łączyli ją ściślej z miastem, naprawiając gorączkowo most — może z rozkazu, a może jeno w myśl, znanej intencji Dziewicy.

I tak, w aureoli nietylko ogromnego zwycięstwa, lecz i całkowicie spełnionych przepowiedni, powracała Wybawicielka do miasta, gdzie już we wszystkich świątyniach intonowano „Te Deum“...

Przez całą noc radzili Anglicy, co czynić dalej. Posiadali jeszcze wprawdzie kilka silnych fortów po prawej stronie rzeki, jednak byli w mniejszości dość znacznej — co gorsza zaś szczęście gwałtownie odwracało się od nich. Wodzowie, czując we własnych duszach dreszcz nieprzewyciężony, który przypisywali czarom, nie mogli się dziwić demoralizacji żołnierstwa. To było główną przyczyną, że postanowiono odwrót.

8-go maja rano gruchnęła po mieście wieść, że nieprzyjaciel opuszcza bastylle; niebawem ujrzano go, ustawiającego się, jak do bitwy, naprzeciw murów. Dowódcy francuscy poczęli więc czempredziej sprawiać swe szyki. Tym razem bezzwłocznie dano znać Joannie, która też zaraz stawiała się konno, mimo swej rany, w lżejszym tylko pancerzu.

Kazała przedewszystkiem — że to była niedziela odprawić za murami mszę połową dla wojska, uspokajając towarzyszy, że w razie zaczepki wrogów, odniosą zwycięstwo. Lecz Anglicy stali spokojnie, a po nabożeństwie oddalili się powoli, z rozwiniętymi sztandarami, ku Meung, pobliskiej swojej twierdzy.

— Nie podoba się Panu, by ich wojować dzisiaj — rzekła stanowczo Joanna — dostaniecie ich na inny raz! Pójdźmy dziękować Bogu...

Nieopisana radość zapanowała w uwolnionem mieście. Wśród bicia wszystkich dzwonów, ludność cała odprawiała dziękczynne procesje, to znów zwiedzała opuszczone fortece nieprzyjacielskie <sup>1)</sup>, nosiła na rękach obrońców i w porywie wdzięczności słała się wprost pod stopy tej, co „zrobiła wszystko, bo bez niej nie zrobionoby nic“ <sup>2)</sup>.

Regent angielski, książę de Bedford, donosząc młodemu królowi o klęsce pod Orleanem, przypisuje ją „czarom Dziewki“ i tak sprawę ujmuje:

— Przyszła na waszych ludzi, z ręki boskiej, jako się zda, zła przygoda...

Jeśli brać rzecz teoretycznie, to obrona Orleanu, wobec dobrej artylerii, zaopatrzenia i przewagi liczebnej Francuzów, nie była wcale czemś nadludzko trudnym. A jednak oblężeni byłiby zmarnowali niechybnie wszystkie swoje dobre szanse bez Joanny tak, jak je marnowali systematycznie i zawsze przed jej przybyciem.

Upadkowi ducha i myśli militarnej przeciwstawiła ona nieugiętą wolę ofensywną i wyjątkowy dar porywania ludzi; nieudolności taktycznej — wrodzony zdrowy sąd, bystrość szybką, jak piorun, talent z bożej łaski. Stała się tym lwem, ze znanego wojskowego aforyzmu, który zwycięża z armją zajęcy...

Trudność leżała tu w sferze ducha i duchowemi też środkami musiała być pokonana. Tu, na najbardziej zagrożonej placówce, młodzianka kobieta przekonała tych wszystkich mężczyzn, że Francuzi nie muszą uciekać. Zwalczyła potężną, dziecinną już niemal, suggestję zbiorową — to tak, jakby pootwierala okna w komnacie pełnej czadu.

Trzeba było aż tak wyjątkowego zjawiska, jak Joanna, aby przełamać straszliwe fatum Francji, ciągnące się od pól Crécy. Orlean był pierwszym, niezapomnianym etapem tego olbrzymiego dzieła — słusznie odtąd związany już na zawsze z imieniem Dziewicy.

<sup>1)</sup> W jednej z nich znaleziono związanego herolda Joanny  
<sup>2)</sup> A. France.





## NAD MOGIŁĄ EMILJI PANKIEWICZÓWNY

Zesłaś do grobu, towarzysko pracy ostatniego półwiecza blisko. Cisną się wspomnienia. Lecą, jak czarne motyle, widma dni niewoli. Czy przeczuwałaś, że trud twój skończy się na progu wyzwolenia? — Że zerwie się prawie nagle nić przędzy, która snuły pracowite i ofiarne twoje ręce? — Nie, żeby ją pożegnać prawie zaraz, witałaś jutrznię wolności. Nie, żeby — wypełźszy z podziemi — być tylko chwilę na jaśni.

Dokumentem dziejowym — było życie twoje, jak życie każdego, kto z młotem w rękę stał przy swoim wylomie i kuł, kuł aż do zapamiętania, aż póki w mrok piwniczny nie padły pierwsze światła. Padły i już zostały. A wy, weteranki cichej pracy wyzwoleniczej, odchodzicie — jedna po drugiej, jedna po drugiej...

\* \* \*

Urodzona w 1864 r. w Warszawie, odziedziczyła Emilja Pankiewiczówna po ojcu, znakomitym pedagogu, którego pamięć czczą wychowawcy po dzień dzisiejszy wielki dar i zamiłowanie do zawodu nauczycielskiego. Podjęła go w najwcześniejszych latach życia, nie doszedłszy nawet do pełnoletności. Bardzo zdolna kształciła się pod kierunkiem ojca swego i profesorów, Dygasińskiego, Dawida. Ulubioną jej dziedziną była historia i literatura. Im też poświęcała się pod przewodnictwem Smoleńskiego, Chmielowskiego, Chrzanowskiego z pełnym żarem młodzieńczym zapalem i wykładała je na chętniej, zapominając nieraz o sakramentalnej godzinie szkolnej, nie słysząc dzwonka, nawołującego do skończenia lekcji.

Program jej wiedzy nauczycielskiej zresztą był bardzo rozległy. Miała swój własny system prowadzenia wykładów arytmetyki, języka polskiego, geografii. Zapalała się, improwizowała nieraz naprędce nowe formy ćwiczeń i zadań zawsze bardzo celowych i logicznych. A jeżeli można było jej coś zarzucić, to — poza zbytnią nerwowością w ostatnich zwłaszcza latach, że za bardzo pozwalała unosić się słowom własnym, a za mało dopuszczała do głosu uczennice, co zawsze sprzeczne było z metodyką nauczania, a na co teraz szczególną zwraca się uwagę.

Pankiewiczówna zdała egzamin w II gimnazjum rosyjskim i po odbyciu t. zw. „próbnej lekcji” otrzymała rządowy patent nauczycielski. Mogła więc była dawać lekcje na pensjach i w szkołach jawnych. Ale wolała pracę konspiracyjną na potajemnych kompletach, gdzie swobodnie mogła wykładać historję polską i język polski, wdrażać uczennice w rozumienie zadań obywatelskich, budzić w nich miłość dla kraju i wiarę w jego zmartwychwstanie. Kilka pokoleń natchnęła tym swoim gorącym patriotyzmem, który nie znosił kompromisów i nie cofał się przed żadną ofiarą. Przez dziewięć lat pracowała w potajemnym zakładzie s. p. Zuzanny Morawskiej.

Z chwilą zamknięcia go przez władze rosyjskie w 1899 r. otworzyła natychmiast taką ukrytą uczelnię z siedmio klasowym programem u siebie w domu i prowadziła ją do 1906 r., kiedy wraz z rewolucją rosyjską spłynęła na b. Królestwo Polskie względna swoboda nauczania. — W czasie wojny od 1916 do 1920 r. pracowała, jako wychowawczyni i nauczycielka języka polskiego, historii Polski w I. Szkole Rękodzielniczej Miejskiej, a pozatem dawała lekcje prywatne u siebie w domu i na mieście. Najulubieńszą dziedziną jej pracy była wszakże oświata poza-

szkolna. Byстрыm wzrokiem ogarnęła klęskę niedouc-twa dorosłych, a sercem gorącym wyczuła tę bez-dnią pustki ludzi, którzy nie wiedzieli, że mają ojczyznę.

— Kto ty jesteś? — „Katolik”. Prawie nigdy nie odpowiedział rzemieślnik, chłop, ogrodnik „polak”. A listy ich z wojska pisane były rosyjskimi — literami po polsku.

Jak nie płakać łzami krwawymi nad takim kalectwem, takim omroczeniem dusz?

Stanąła Pankiewiczówna przy najmoźolniejszym swoim wylomie. Otworzyć dorosłym oczy, serca, mózg. Nauczyć ich, czym jest własna polska ziemia!

W 1905 r. powstała Szkoła Niedzielna i Wieczorna dla pracownic. Skupiły się dokoła niej lotne porowy dyletantek z głęboką wiedzą rutynowanych sił pedagogicznych. Niezapomniane, długie lata pracy przy warsztacie, który był, jak ogród nieuprawny. Każdy znosił swoją grudkę ziemi. Każdy stał przy swojej ukochanej grządce. Każdy chlubił się dziełem poczętem i dokonaniem. Każdy miał swoje kwiaty wybrane — serca i dusze dziewczęce, które pielęgnował ze szczególną pieczołowitością. Kierowniczką z konieczności, bo nie znalazł się nikt inny, była opatentowana wprawdzie dyplomem gimnazjum—rosyjskiego, ale nie wykwalifikowana nauczycielka. Przyłączyła się do niej druga dyletantka — bez patentu, bez dyplomu, ale sercem płomienna, ale pięknem słowa natchniona, świetna mówczyni, znająca nawskroś literaturę polską i obcą, doskonała popularyzatorka, p. Anna Leo Rose, której niedzielne pogadanki o wielkich wieszczach narodu były świętem, oczekiwaniem przez cały tydzień. Nas dwie i jeszcze parę innych (między niemi p. Natalia Greniewska i Zofja Zabitowa), które miałyśmy tylko dobrą wolą i wielkie ukochanie placówki podtrzymywały rutynowane siły takie, jak p. Marja Sokalowa, znakomita przyrodniczka, Marja Strasburgerówna, dr. M. Bornstein—Łychowska, znana ekonomistka, doktorowa Marja Malinowska, Zofja Findeisenówna, E. i G. Lenartowskie, J. Tussowianka, doktorowa Koralkiewiczowa, A. Holendowska i inne. Administrację objęła J. Beinówna. — W pierwszych szeregach nauczycielskich stanęła Emilja Pankiewicz. Pod jej kierunkiem w ciągu 20 letniego istnienia uczelni kilka pokoleń dziewcząt wniosło do domów swoich zrozumienie obowiązków prawego polaka, wielkie ukochanie Polski, wiarę w jej odrodzenie i doniosłą przyszłość dziejową. W 1924 r. szkoła została przekazana Kursom dla dorosłych, na których już wówczas pracowała Pankiewiczówna, nie zszedłszy z placówki aż w chwili, kiedy nagle, ciężka choroba rzuciła ją na łożo śmiertelne.

Głodu jej wielkiej ofiarności nie zaspokajały płatne i pół płatne lekcje. Zgromadzała u siebie w domu uczennice ze Szkoły Niedzielnej i z Kursów, urządzała dla nich dodatkowe czytanki arcydzieł literatury z objaśnieniami. Umiała mówić i mogła być wybitną prelegentką, gdyby nie wrodzona niechęć do wystąpień publicznych i unikanie reklamy. Dar słowa zachowała tylko dla uczennic swoich. Każda twarz obca już zbijała ją z tropu.

Znała Pankiewiczówna Warszawę, jej historję, jej zabytki, jak najwytrawniejszy kronikarz. Do zadań jej ofiarnych należało zwiedzanie z uczennicami starych dzielnic, kościołów, pamiątkowych zaułków. Grób Sowińskiego i Powązki to były najulubieńsze wycieczki. Wracały z nich dziewczęta pełne kultu-



dla wspomnień narodowych, pełne ukochań i pełne nowych wrażeń. Niejedna z nich pisała źle, czytała niesfornie, ale za to przez sen mogła była wyliczyć pomniki, domy, obrazy historyczne w Warszawie.

Na kilka lat przed śmiercią musiała zaprzestać wycieczek. Siły słabły. Coraz trudniej było pogodzić pracę ideową z pracą na chleb.

Pedagogika nie stanowiła jedyne go terenu zainteresowań Pankiewiczówny. Obchodziły ją żywo sprawy ogólnospołeczne, zwłaszcza — sprawa nadania równych praw kobiecie. Należała do członków — założycieli Polskiego Stowarzyszenia równouprawnienia kobiet, z którego — po rozłamie wewnętrznym — powstała później komisja dla spraw kobiecych, przy Tow. Kultury Polskiej. Była również jedną z założycielek T-wa Zawodowego Kształcenia Kobiet. Nie stanąwszy w szeregach żadnego stronnictwa politycznego, niezależny jej umysł bowiem nie byłby zniósł wędzideł i nakazów partyjnych, przystawała jednak zawsze do ponadpartyjnych żywiołów demokratycznych i z nimi pracowała najchętniej.

„Z domu jej wyszłyśmy wszystkie” —



powiedziała nad mogiłą zmarłej Stefania Sempołowska do licznej grupy kobiet, które żegnały do stojne zwłoki.

Z domu jej wyszły wszystkie działaczki tej epoki. Dawała mieszkanie swoje na wszystkie konspiracyjne zebrania, sama nigdy prawie nie podając się do głosu. Ręka jej spoczęła na każdym dziele, w imię dobra narodowego poczętem, choć prawie niewyczuwalne było dotknięcie.

W różne strony pognał wiek dziejowy te, które wyszły z domu Pankiewiczówny. Jedne bardzo na prawo. Inne — bardzo na lewo. Do garstki tych, które stały z nią razem przy jednym ponadstronniczym warsztacie T-wa Zawod. Kształc. Kobiet, należy nas kilka. W ich imieniu, w imieniu pań: Wandy Opęchowskiej, Anny Paradowskiej-Szelałowskiej, Jadwigi Hewelkowej, Marji Zagrodzkiej i innych, rzucam garść wspomnień na mogiłę szlachetnych porywów, niezmordowanej pracy, bezmiernych ofiar i poświęceń, które nie zapadną w nicłość! Zar — ptaki zerwą wieko trumny, rozedrgają się błękitnym płomieniem ziemskiej tęsknoty, zatrzepoczą skrzydłatą wolą czynu i spłyną z przestworzy.

Już może są. Już zmartwychwstały i skrzepły — niewiadomo, w czyjem sercu.

C. Walewska

## DUSZA DZIECKA

Nakładem znanej firmy księgarskiej w Paryżu Hachette, w zbiorze *Quatres âges*, ukazała się książka pani Gérard d'Houville o dziecku, p. t. *L'enfant*, jedna z najpiękniejszych, jakie na ten temat zostały napisane.

Pani d'Houville ma dwie cenne zalety, które obie razem są niezbędne do dobrego zrozumienia dziecka. Pierwsza to — ukochanie dziecka, druga, to — poważne patrzenie w duszę dziecka.

Rodzice zazwyczaj nie rozumieją umysłowości dziecka, tak jak dziecko nie rozumie umysłowości starszych. Sądzą, że zbliżą się do dziecka, jeżeli się staną, jak one, dziecienni, t. j. jeżeli się nagną sztucznie do jego poziomu. Jest to błąd zasadniczy. Dziecko jest istotą, w swoim rodzaju poważną, istotą, biorącą rzeczy po swojemu całkiem serjo. Dosyć spojrzeć w pytające poważnie, aż do natężenia myśli dziecięcej, czy dziecka, by widzieć ten jego samoisty świat, tę jego samoistną logikę, pracującą dociekliwie, poważnie. Dziecko chce, by je traktowano poważnie, odczuwa odrazu lekceważący, lub powierzchowny stosunek do siebie i zraża się. I długo pamięta wszelką niesprawiedliwość, wszelką pogardę dla swych uczuć.

Oczywiście, trudno czasami odpowiadać na pytania dzieci, dotyczące zwłaszcza Boga, aniołów, zasadniczych zagadnień życia i świata. Trzeba jednak zawsze pamiętać, że dziecko posługuje się symbolami, wyobrażeniami, obrazami, tam, gdzie my posługujemy się pojęciami, czy ideami oderwanymi. Trzeba tedy całkiem poważnie i bacznie patrzeć w duszę dziecka, i nasze pojęcia, nasze idee oderwane przekładać w sobie na obrazy, którymi posługuje się dziecko, i drogą tych obrazów rozwiązywać pytania dziecka, nie burząc w niem jego świata, i tylko nieznacznie kierując je ku wyższym pojęciom.

Oto drobny przykład: Dziecko widzi, jak w ogrodzie zbierają melony.

— Mamusiu! — pyta — Czy się je będzie wysiadywać? Oczywiście śmiech! Tymczasem dziecko poważnie patrzy i dziwi się, dlaczego się śmieją. Przecie to okrągłe, jak jaja, ma w środku nasiona zarodki i t. d. Widzimy, że dziecko miało całkiem poważną rację logiczną, żeby się zwrócić z takim pytaniem, i że tę jego logikę dociekającą należy uszanować, podziwiać nawet, umiejętnie tylko pomnażając i rozwijając pojęcia.

Trzy rodzaje istot ludzkich są sobie krewne duchowo: ludzie prości, pierwotni, dzieci i poeci. Stąd poeci i ludzie prości zawsze dochodzą do ładu z dziećmi, kochają i rozumieją się wzajem.

Pani d'Houville jest poetką w duszy, przytem kobietą bardzo rozumną i czule kochającą dzieci. Stąd jej stosunek do dzieci, który odtworzyła w swej książce, jest jakiś religijny, niezmiernie głęboki i baczny. Z taką miłością i uwagą patrzą niektóre kobiety na kwiaty, czule i delikatnie, nabożnie prawie, dotykając je i widząc w nich wszędy głęboką tajemnicę bożą.

Książka zawiera wiele ślicznych historyjek i powieści dziecięcych, nie tych, które często nasz cynizm, zepsucie, lub pustota pochwytuje od dzieci, podając je potem naszym różnym z porozumiewającym się spojrzeniem oczu. Nie! Wszystkie one są czyste czułą, uważną i poważną myślą podjęte.

Oto kilka z nich, a jest ich dużo, dużo, i wszystkie śliczne! Synek pani d'Houville, gdy był mały powiedział jej raz:

— Jeżeli umrzesz, nie przebaczę ci tego nigdy. To samo dziecko rzekło pewnej starej pani: — Jeżeli tak pięknie w raju, to dlaczego nie idziesz tam? Już dużo lat tu żyłaś!



Są i powiedzenia zabawne. Bardzo małe dziecko, które widziało widocznie sprawione ptactwo z kurnika na stole kuchennym, gdy mu oznajmiono z wielkimi przezornościami, że dziadek jego umarł, zapytało z zachwytem: — Czy będzie się go jadło?

Ale najpiękniejszy rozdział jest o chłopcu Tunie. Tun umarł w wieku dziecięcym i pani d'Houville bardzo go kochała. Wychowywano go, jak wszystkie dzieci współcześnie, w atmosferze trzeźwej, wyłączonej baśni i poezji. Tun zaś chciał wierzyć w bajki, w nadprzyrodę. Stąd jego poważne cierpienie.

Oto rozmowa pani d'Houville z Tunem, podjęta ze wspomnień i zwracana przypomnieniem do zmarłego:

— Czy są, proszę pani, boginki (des fées)?

Gdy nie odpowiadałam dosyć prędko, pytałaś dalej:

— Mówią mi, że niema boginek, ani bajek, ani nic, a to jest smutne, tak smutne!

Wtedy odpowiedziałam bez wahania:

— Mały Tunie! są boginki.

— Ach, oczy twoje, Tunie, złote twoje oczy, napełnione wdzięcznością nieskończoną!

— Ach! Panie! Czy pani jest jedną z nich?

O, nie, Tunie! Ale ja znam historję o nich,

bajki biękne. Powinieneś wiedzieć, Tunie, że w bajkach nie wszystko jest prawdą... całkowitą prawdą; ale one dają do myślenia o historjach prawdziwych i wyjaśniają je odmieniając.

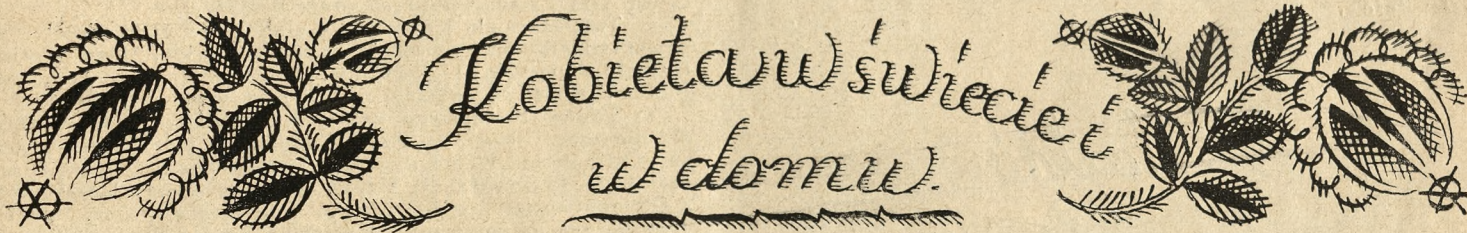
— Ja chcę, żeby one były prawdziwe, żeby bajki były prawdziwe; są boginki, jest coś innego, niż to wszystko!

Biedny Tun umarł wkrótce potem, niewątpliwie żeby nie widzieć wszystkiego tego, i pani d'Houville ma nadzieję, że go odnajdzie kiedyś, kiedyś właśnie, gdy się umęczy tą starą ziemią, na której nie chcą już mieszkać boginki, być może dlatego, że nikt już nie chce w nie wierzyć.

Matki nasze powinny baczniej i głębiej patrzeć w dusze swych dzieci. To jedno już zapewni im zaufanie dzieci i ustrzeże je od tych niespodzianek przykrych i zbroczy, jakie powstać mogą w osamotnionej i pozostawionej sobie, nieufnej duszy dziecka.

Dobrzeby było również, żeby matki nasze notowały niektóre ciekawe powiedzenia dziecka (byłe bez próżności macierzyńskiej i z dostateczną krytyką). Utworzyłoby się mógł kiedyś z tego, pod dbałą redakcją, piękny zbiór, i jako zajmująca, często wzruszająca lektura, i jako przyczynek nawet do psychologii dziecka.

Józef Jankowski



### KOBIETY WYNALAZCZYNIE.

Rządowe biuro statystyczne w Stanach Zjednoczonych ogłasza listę wynalazków, opatentowanych w przeciągu kilku lat ubiegłych przez kobiety. Pomiedzy nimi figurują: warsztat tkacki, pracujący trzykrotnie szybciej od dotychczasowych najlepszych modeli; ubranie ochronne dla strażaków, które od daje już podobno wielkie usługi podczas pożarów, nowy i bardzo praktyczny model maszyny do haftu; aparat do gaszenia pożaru; nowy model maszyny do pisania, nowy system opalania statków bez użycia węgla; aparat, sygnalizujący, do użytku na okrętach, działający na znacznie większą odległość, niż aparaty znane dotychczas; maszyna do pakowania, przy pomocy której można zawinąć, zapakować i obwiązać sznurkiem paczkę dowolnej wielkości w przeciągu kilku sekund; maszyna drukarska nowego i bardzo praktycznego typu; aparat dla rozpraszania dymu węglowego itd. itd.

Jak wynika z tej statystyki, kobiety amerykańskie nie ustępują bynajmniej mężczyznom pod względem przedsiębiorczości i wynalazczości. Inżynierki amerykańskie przyczyniły się już niemało do techniki, dokonywują wciąż nowych ulepszeń i wynalazków. Wiele z pośród tych praktycznych pomysłów znalazł już zastosowanie i poza granicami Stanów Zjednoczonych. Do takich należy doniosły dla nawigacji wynalazek teleskopu podmorskiego, dokonany przez amerykańkę panią Matthew i ostatecznie opracowany we wszystkich szczegółach technicznych

przez jej córkę. Teleskop ten służy do obserwacji podwodnych i znalazł szczególnie szerokie zastosowanie w marynarce, gdzie używa się go do badania części statku, ukrytych pod wodą, celem stwierdzenia zaszytych w nich uszkodzeń zewnętrznych. Długa ta lista wynalazków nie jest jednakże z pewnością odbiciem rzeczywistych zasług kobiecych na polu techniki i nauki. Przeciwnie, statystycy stwierdzają, że cały szereg wynalazków, dokonanych przez kobiety, nie wydestaje się nigdy na światło dzienne pod nazwiskiem tej, której swe powstanie zawdzięcza. Patenty bywają najczęściej przyznawane przedsiębiorcy, u którego pracuje owa wynalazczyni, lub firmie tecznicznej, finansującej wynalazek. W ten sposób znaczna ilość prac i wysiłków kobiecych ginie na zawsze w mgłę zapomnienia.

### OBCHÓD KU CZCI M-ME DE SÉVIGNÉ.

W połowie kwietnia r. b. otwartą została w Paryżu, w muzeum Carnavalet, wystawa, poświęcona pamięci pani de Sévigné, ku uczczeniu trzechsetnej rocznicy jej zgonu. Przez czas trwania wystawy odbył się szereg odczytów najwybitniejszych autorek współczesnych francuskich. Marcelle Tinayre mówiła o „Salonie pani de Sévigné“, Gerard d'Houville — o „Pani de Sévigné w życiu rodzinnem“, Rosemonde Gérard — o „Pani de Sévigné jako artystce słowa“, Lucie Delarue-Mardrus wreszcie zastanawiała się nad stosunkiem pani de Sévigné do wsi i miłością jej dla piękna natury.



## WŁOSZKA O POLSCE

Nelly Nucci: *Arte d'Italia a Cracovia e a Varsavia.*  
Padova 1926 \*).

Młoda „dottoressa“ czcigodnej Padewskiej wszechnicy, która zeszłego roku była gościem Polski, studiując materiały do monografii o Krasińskim, przysłała nam, jako pierwszy plon swej wycieczki, małą książeczkę, miły upominek od niezwyklej cudzoziemki — polonistki.

— Nie szukajcie w tem dziełku — mówi autorka, suchej erudycji, ani uczonej krytyki sztuki. Jest to różaniec wspomnień, impresyj, nastrojów. Pisała je w zimowe wieczory, trochę smutne, gdy w oczach jej stawały obrazy dalekiej krainy: potężna sylweta Wawelu i uśmiechnęte, białe Łazienki, które podbiły jej serce. Z entuzjazmem właściwym swej rasie opowiada z jak radosnym zdziwieniem odnalazła swoją słoneczną Ojczyznę w zakątkach północnej ziemi. Italia cinquecenta śmiała się do niej w dziedzińcu wawelskim, w murach kaplicy Zygmuntońskiej, w Warszawie odnajdywała nutę ojczystą w pięknie magnackich pałaców, we wdzięku białych posągów, które pytała, czy nie tęsknią za niebem ojczystem?

Na balkonach starych Krakowskich kamienic na ulicy Kanonicznej, zamieszkałych niegdyś przez włoskie rodziny, zwidywały się jej postacie pięknych patrycjuszek, tęskniących za daleką ojczyzną.

Zaś na Starem Mieście, które wydało się jej, jak romantyczny sen, szukała myślą kobiet polskich patrijotek — konspiratorek, żyjących niegdyś w tych starych domach, smutnych smutkiem niewoli. W Wilanowie i Natolinie również znajduje ślady artystów włoskich i hołd składa tym cichym pionierom wielkiej sztuki. A najbardziej zachwyca ją wspomnienie Bacciarellego, nieodłączne od pamięci króla Mecenasa. I tak mówi — łączy się w mych wspomnieniach duma, że jest córka Italii, której geniusz w tak dalekich stronach swe piękno wyciskał i wdzięczność dla gościnnego narodu, który tę sztukę taką otaczał pieczołowitością.

K. B.



### TEATR NARODOWY

„Ludzie Tymczasowi“ — komedia w 3 aktach  
Z. Kaweckiego.

Trzyaktowa komedia Kaweckiego dzieli się na dwie części artystycznie nierówne i luźno tylko z sobą związane.

Pierwsza (akt pierwszy i drugi) dzieje się w Moskwie w roku 1918. Autor z właściwym sobie talentem podpatrywania najdrobniejszych szczegółów przesunął przed naszymi oczyma szereg postaci żywych, doskonale zaobserwowanych i ujętych. A więc mamy pana Redaktora, którego i tu, na obczyźnie, w wilę powrotu do ojczyzny, interesują przedewszystkiem gazety i eks-spiewaka opery (Olbrachta) utrzymującego się w Moskwie z lekcji śpiewu, i lekkomyślnego, a przemiłego literata (Kazio), i aktora, który z „konieczności“ paskuje, i zapalonego reformatora teatru. Podobno są to postacie prawdziwe, dobrze znane naszej emigracji, a że Kaweckie umie stawieć swoje figury, od razu nawiązała się nie sympatji między nim i widznią. Trudno nie polubić Olbrachta, Jaracza, lub nie ulec czarowi Kazia-Węgrzyna!

Koroną tej polskiej kolonii, promykiem szczęścia i nadziei w ciężkich dniach niepewności jest panna Wikcia-Brydzińska, uosobienie wdzięku i cnót niewieścich: dobra, praktyczna, szczerą, odważną. Kochała się też w niej wszyscy. Śliczna ta

\*) Do nabycia w księgarni Gebetnera, Mortkowicza i innych.

osóbka o mało nie stała się przyczyną zguby ukochanego. Zazdrosna o Kazia Irena Siergiejewa donosi na niego Czerezwyczajce. Rewizja (która nic nie wykazała dzięki interwencji prowokatora Sianki), a potem już nic nie stoi na przeszkodzie: powrót.

Emigracji polskiej przeciwstawia Kaweckie parę rosjan, Irenę Siergiejewą i Borysa Nikołajewicza. Są oni tak samo przeciętna typu rosyjskiego, jak przeciętni są polacy Kaweckiego. Borys Nikołajewicz, człowiek „bywszy“, szukający wyjścia z każdej trudnej sytuacji w butelce „czystej“, i Irena Siergiejewa, namiętna, zazdrosna, zła, ale zdolna do uczuć głębokich. Przypuszczam, że stało się to wbrew woli autora, ale ci rosjanie mają o wiele więcej cech człowieczeństwa od naszych rodaków! Bo, mówiąc prawdę, patriotyczne frazesy panny Wikci tylko dla tego nie są niesmaczne, że z wdziękiem mówi je Brydzińska, zaś owa tęsknota do kraju ma wiele z tęsknoty do łatwiejszego bytu.

Tytuł komedji „Ludzie Tymczasowi“. Autor chciał nam udowodnić, że tymczasowość życia, stosunków i zajęć naszej emigracji z konieczności musiała się odbić na jej psychice. Po powrocie do ojczyzny, nie do tej wymarzonej, ale do realnej, rzeczywistej Polski, nie mogą żyć się w nowych warunkach (Akt III). Rzekomo z winy tych warunków. Życie bowiem w Polsce zmusza mężczyzn do robienia geszefów, kobiety zaś do tłumnego odwiedzania dancinów. Przyznają, że dancinigi są plagą a chęć zrobienia pieniędzy chorobą zaraźliwą, której podlega znaczny odsetek naszego społeczeństwa. Ale sadzę, że przy odrobinie dobrej woli możnaby tego zła uniknąć. Że pani Wikcia nudzi się w domu i zatruwając szybko z uroczego polskiego dziewczęcia przeistoczyła się w nieznośną warszawską damę, to wina jej i pana Kazia. Ale nigdy Polski. Że pan Kazio woli być bogatym handlowcem, niż ubogim literatem, to kwestja jego osobistych zamiłowań, brzydka pleśń, której zarodkiem była tymczasowość życia na emigracji. Ale właśnie ta tymczasowość ułatwił Kaziowi powrót do właściwego życia: splunawszy symbolicznie w tekę z geszefami, znacznie pracować sam i zmusi do pracy panią Wikcię.

Ten trzeci akt jest o wiele słabszy od poprzednich. Przedewszystkiem ma pretensje moralizatorskie. Dwa pierwsze tryskały humorem i dowcipem, trzeci pełen jest komunałów o złem, jakiem są dancinigi i t. d. Ależ wiemy to, wiemy!

Sztukę Kaweckiego przyjęto bardzo gorąco, zwłaszcza akt pierwszy i drugi, tryskające humorem i dowcipem, a grane po mistrzowsku. Węgrzyn-reżyser i Kazio podwójną miarą przycznił się do powodzenia sztuki. Subtelny humor Jaracza zrobił z Olbrachta postać miłą, tuszując rysy karykaturalne. Pani Brydzińska była uosobieniem wdzięku i czaru. Pani Pichor Śliwicka, dała świetną sylwetkę Ireny Siergiejewny. Godnym jej partnerem był Myszkiewicz. Reszta zespołu na wysokości zadania.

Z. P.

### TEATR LETNI

„Papa się żeni“ — krotchwiła w 3 aktach  
W. Rapackiego.

Sztuka Rapackiego jest bezpretensjonalna i bardzo warszawska i to jest źródłem jej powodzenia. Przez trzy akty śmiejemy się szczerze i niewymuszennie. Dowcipny, lekki dialog, koncertowa gra aktorów, doskonała reżyserja Leszczyńskiego, czegoż więcej wymagać od krotchwił?

Autor obraca się swobodnie w dobrze sobie znanem środowisku braci aktorskiej. Dzieje miłości prymadonny i skrzypka, których rozłączyła zazdrość, a zbliżyła córka, jest treścią sztuki Rapackiego. Eks kochankowie po siedemnaścieletniej rozłące starają się wskresić „wczoraj“. Oczywiście, razem z tem „wczoraj“ wskrzeszają dawne kłótnie, sceny, i t. d. niepozbanione uroku dla zakochanych. Jest to pomysł dobry i autor potrafił go wyzyskać.

Dowcipy Rapackiego nie są może najlepszej marki, ale niema w nich nic niesmacznego, ani trywialnego, a najbanalniejsze sceny i sytuacje posiadają swoisty wdzięk. Na tle stereotypowych figur (stary baron, garderobiana, kamerdyner, aktor-kawalarz) doskonale zarysowane postacie główne. Prymadonna-Cwiklińska i skrzypek-Leszczyński po mistrzowsku prowadzili dialog. Córeczka, panna Górczyńska i jej koleżanka Lenerów są pełne uroku.

Pan Grabowski przejąskrawił nieco swego barona, ale co zrobić z postacią, która już w założeniu ma być karykatura. Autor doskonale zagrał spoufalonego kamerdynera.

Z. P.







455.

456.

457.





458.

459

460.

461

462





463

464

465

466

467



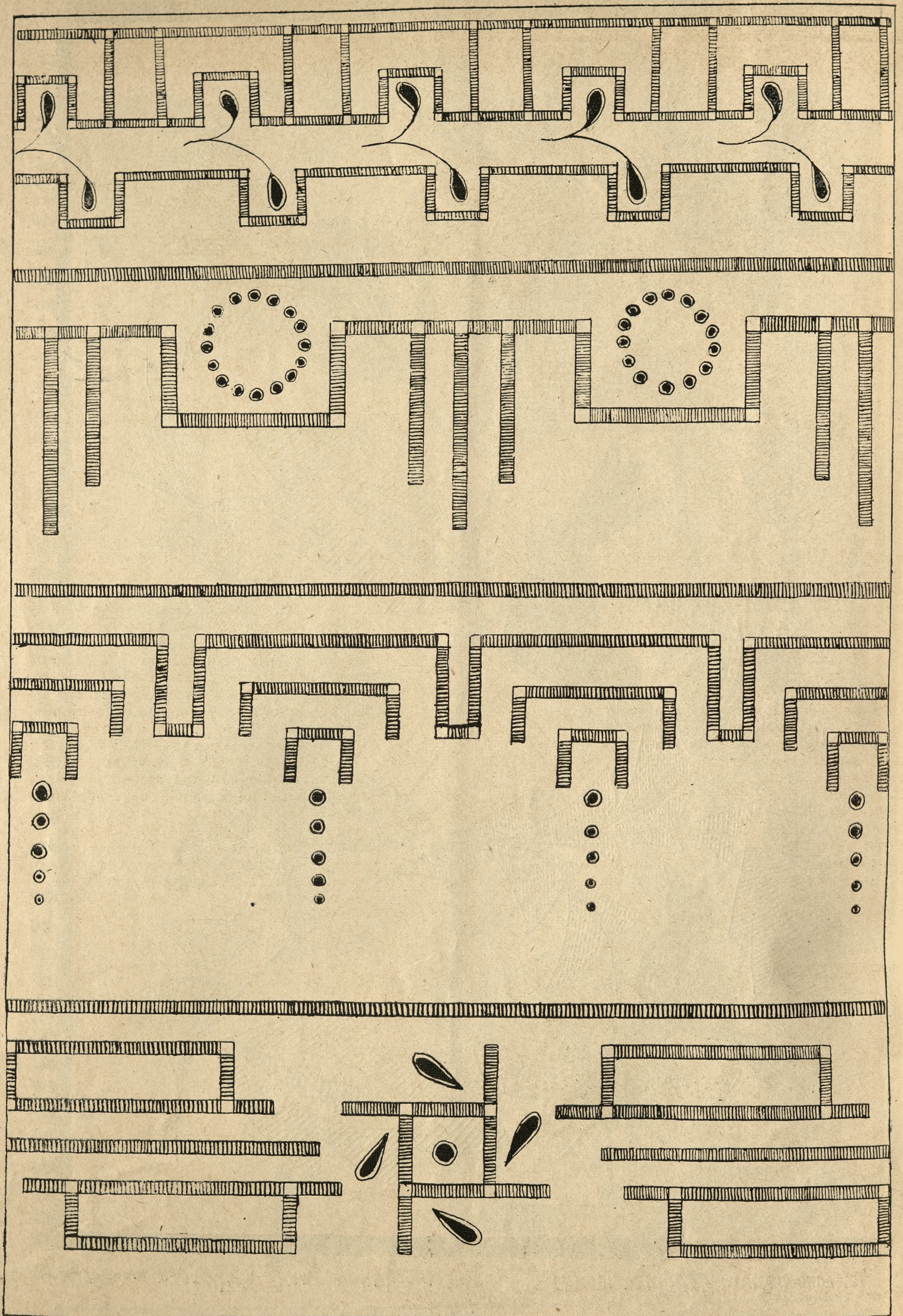






ZIEŁONO-NIEBIESKI
 
 SZAFIROWY
 
 RUDY.
 
 BRONZOWY.
 
 ŻŁOTY.
 
 PACIORKI







## MODNE KAPELUSZE

Odkąd moda wymaga dostosowania koloru kapelusza do sukni, kwestja jego odgrywa dużą rolę w naszym budzicie. Dobrac kolorystomy chociaż dopału sukien — stanowi poważną rubrykę, a cóż dopiero

jeżeli która z Pań posiada więcej tualet i do każdej chciałaby mieć stosowny kapelusz. Wprowadzono w modę kapelusze ze wstążek, są przejściem między filcem, a słomą, między zimą, a latem. Nauczysz się robić kapeluszy — będziemy mogły mieć ich tyle, wiele zapagniemy i będziemy w stanie roztoczyć najwyższą elegancję szarmonizowanej tualety.

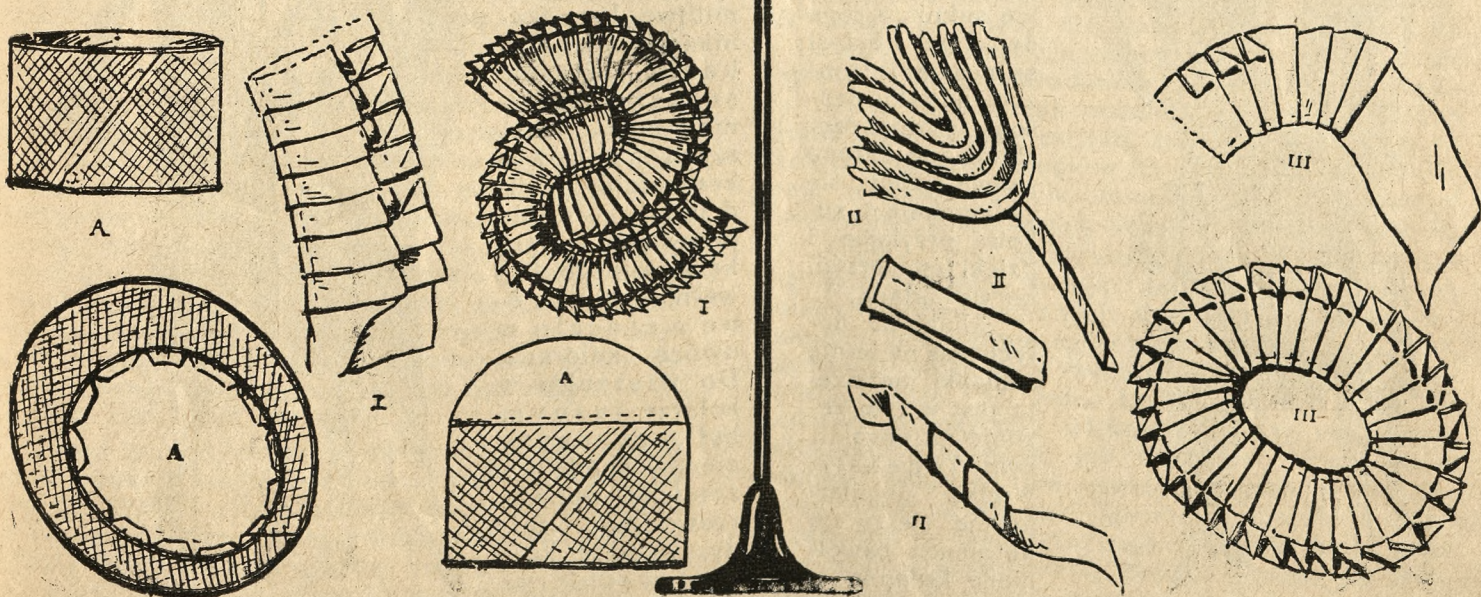
Na fason kapelusza tak jak lit. A wskazuje użyjemy groeliny ukrajanej skośnie, która wedle dzisiejszej mody zostawimy wiotką, nie podszytą drucikiem. Na otoczenie główki użyjemy pasa skośnego z groeliny — a na główkę skrajemy kółko, które połączymy z pasem, jak wskazuje wzór lit. A. Rondko podszyjemy kawałkiem odpowiedniego koloru materyjki, do brzegu przyszyjemy wierzchem wstążkę gros grain, albo taftową № 9, obszywając nią następnie wkoło aż do czubka główki kapelusika Nr. 1. Wkońcu przypniemy z boku w zręczny motyw splecioną rys. Nr. 1 kokardę z dwóch kawałków splisowanej wstążki.



Kapelusik Nr. 2 formy dzwonu z kwadratową główką — zupełnie nowoczesny, może być wykonany ze wstążki gros grain albo z plis crêpe de chine'owych, w trzech cieniach, lub w trzech z gadzających się

odmiennych kolorach. Formy na podstawie użyjemy takiej samej, uważając jedynie, aby rondku skrajaniemu skośnie nadać formę kloszową. Ten kapelusik przybiera z boku fantazja ułożona ze wstążki, według wzoru Nr. 2. Na tej jeszcze formie wykonywamy

Nr. 3, fasonując główkę okrągło, a rondko robiąc płaskie, spuszczone na oczy. Można go nakryć wstążkami, lub paskami crêpe de chine'u w dwóch cieniach. Fantazja z boku kapelusika składa się z szerokiego pierścienia splisowanego z jaśniejszej wstążki lub crêpe de chine'u, którego brzegi odginamy tak jak rys. Nr. 3 wskazuje. Przez ten pierścień przeprowadzamy rodzaj strzały ze złożonej materji rys. Nr. 3. Bardzo noszone są proste toki :: wysokimi główkami. Groelinowa główka lit. A może być do nich użyta. Główkę obciąga się materją lub crêpe de chine'em, a brzeg owija wstążką gros grain, układając ją z przodu w podwójną kokardę, która bardzo szykownie ubiera kapelusik Nr. 4. Dwa guziki ze strassów, zdobią środki kokardy.





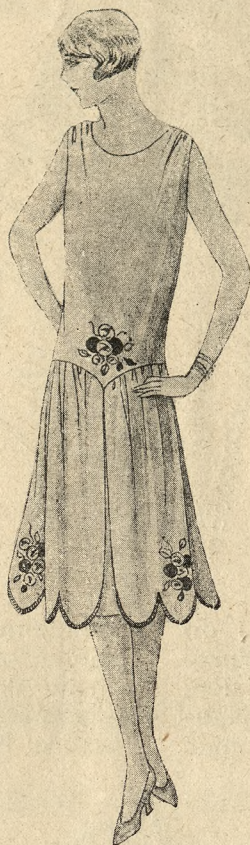
## LETNIE SUKIENKI

To, co francuskie żurnale zwykły nazywać „une petite robe“, jest to sobie taka sukienka bez pretensji, w której można pójść do biura, zająć się w domu gospodarstwem, wyjść w lecie na ulicę. Lato nasuwa pokusę zrobienia sobie takich petites robes całego tuzina, bo to i ładne, i tanie, i do prania, oczywiście że tego rodzaju pokusy należy energicznie zwalczyć, gdyż chociaż koszt takiej letniej sukienki, w porównaniu z kostjumem deux, lub trois pièces, okryciem lub nawet zimową suknią wizytową, jest nieznaczny, to jednak takie sprawianie letnich sukien hurtem może spowodować dotkliwy wyłom w budżecie. Zresztą bywają i takie niespodziewane pozycje w rachunkach krawcowych: krepon na suknię 21 zł., gipjura do przybrania 60 zł., jedwab na podszewkę 45 zł., robota 40 zł. = 166 zł.

Czasem taka tania sukienka robiona u niedrogiej krawcowej potrafi zrobić taką złośliwą niespodziankę. Aby tego rodzaju niespodzianek, unikać należy wszystkie dodatki kupować samej i to z kredką w rękę. Jeżeli Pani ma względne pojęcie o obchodzeniu się z maszyną do szycia, to może letnie sukienki uszyć sobie sama. Krój jest tak nieskomplikowany, zresztą nasze pismo dostarcza tyle patronów. Jeżeli Pani stanowczo brak na to odwagi, to uszyje sukienki jakaś panna Mania, czy Józia, co za parę złotych i obiad przychodzi szyc do domu. Płacić za robotę sukni drożej, niż kosztuje kupiony na nią materiał, to doprawdy zbyt paradoksalne.

Pozatem należy sprawić sobie jedno jedwabne dessous najlepiej z lekkiej tafty, w odcieniu jasno popielatym, lub kremowym, które będzie się nadawało pod wszystkie lekkie suknie. Crêpe de chine i batyst są materiałami zbyt na takie dessous przezroczyście, do satyny znowu zbyt się zwierchnia suknia przylepia i dzięki temu brzydko się układa.

Ulubiona dotychczas na letnie sukienki markizeta jest w tym sezonie na absolutnym indeksie. Wielką popularnością cieszą się natomiast bawełniane krepony w



najrozmaitszych odmianach. Jednym z najładniejszych gatunków kreponu jest crêpe georgette bawełniany, do złudzenia naśladowujący georgette jedwabną.

Niestety, jak na tkaninę bawełnianą, jest to wyrób dość kosztowny. Inne krepony, najrozmaitszych cen i gatunków, noszą przeważnie szumną nazwę: bawełnianych crêpes marocains. Ładne są krepony deseniowe, nieraz bardzo harmonijne w kolorze i w pomysłowych oryginalnych wzorach. Pani Moda znów raczyła spojrzeć łaskawie okiem na tkaniny wzorzyste, i słusznie, w słońcu, na tle morza, lub zieleni, nie rażą najjaskrawsze zestawienia barw, przytem materiał deseniowy nie wymaga żadnego odrobienia. Pstra suknia z białym szalowym kołnierzem związanym w krawat o długich wiszących końcach wymaga minimalnych kosztów i zachodu, daje się prać i wygląda bardzo ładnie i elegancko.

Wszystkie krepony mają jedną wspólną wadę, zbiegają się złośliwie po upraniu. Nieraz suknia matki po wypraniu z trudem wchodzi na jedenastoletnią córkę. Żeby się przed podobnym dowcipem zabezpieczyć należy materiał przed skrajaniem dokładnie zmoczyć w wodzie i uprasować. Nie zaszkodzi nawet i wówczas zostawić w szwach i dole tak zwane „zapasy“.

Popularny obecnie krój: karbowana spódniczka i pull over, daje się wykonać jedynie z materiałów jedwabnych, jak crêpe de chine, crêpe marocain, georgette.

Przy tkaninach bawełnianych, plisowanie lub karbowanie nigdy się ładnie nie ułoży, no i przytem oddawanie letniej sukienki do chemicznej pralni byłoby zbyt kłopotliwe. Przy tkaninach lekkich karby zastępuje suto zmarszczenie, przy grubszych, szerokie kontrafałdy. Widziałam ślicznie pomyslaną sukienkę z grubego bawełnianego crêpe marocain w dwóch kolorach. Do wierzchu w kolorze jasnym był przyszyty ciemny spód, ułożony w wachlarzowe kontrafałdy, wewnątrz każdego wachlarza





było jasne. Przy złączeniu był haft w zwykłe koła, ciemne na jasnym materiale, jasne na ciemnym.

Efekt całości nadzwyczajny.

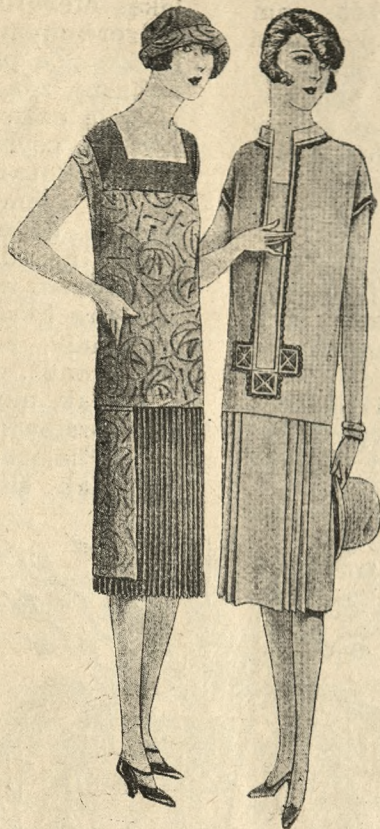
Inna sukienka z marocain bleu électrique, kolor równie modny, a nie tak zbanalizowany, jak zielony i bois de rose, miała kołnierzyk, mankiety i kieszonki z zahaftowanej niebiesko białej organdy.

Znowu wrażenie niezmiernie młode i świeże. Obie te sukienki z łatwością dadzą się uszyć w domu.

Niezależnie od mody sukienka letnia musi być szeroka, zwłaszcza na wsi, gdzie się nieraz urządza improwizowane gonitwy, lub trzeba przesadzić rów, wąskie sukienki bywają arcynieuwodne.

Umiejętnie ułożone grupy zmarszczek, lub fałd wywołują kiedy się stoi wrażenie linii wąskiej i ślicznie rozrzucają się w ruchu.

Pantofelki do letnich sukienek, szczególnie na wieś powinny być jasne, płócienne. Z zamszowych, lub gimezowych po kilku spacerach po wiejskich drogach i łąkach zostaną żalotne resztki. Płócienne obuwie



świetnie się czyści i do końca wygląda świeżo, a jak się wreszcie zedrze ma się tę pociechę, że kosztowało o połowę taniej, niż skórkowe. Kapelusze przyniosła nam letnia moda duże, za to jesteśmy jej szczerze wdzięczne, gdyż są one twarzowe i malownicze.

Na wieś można sobie fabrykować śliczne cieniste kapelusze z pstrego kretonu, lub sztywnej organdy. Niemożność ondulowania jest stałym strapieniem pań z miasta, na wsi, lub letnisku. Nie mogą sobie same z włosami poradzić. Stałe chodzenie z głową ciasno obwiązaną szaleem nie jest higieniczne i dla włosów niezdrowe. Lepsze są sportowe siatki z kolorowego jedwabiu, lub złotego szychu, a najtwarzowsze leciuchne, fantazyjne czepeczki z białego tiulu, lub organdy, zwłaszcza kształt holenderskiego czepka, lub bretonki jest dla młodych, świeżych twarzątek szczególnie awantażowny i łatwy do zrobienia. Słowem przy odrobinie pomysłowości i cierpliwości można prześlicznie wyglądać i to bardzo tanim kosztem.

Well.

## I ZNÓW REMINISCENCJE

### II.

W ogromnej sali Kasyna Municipal, wonnej eukaliptusem, którego używają na południu do odświeżania powietrza we wszystkich lokalach publicznych, nie zbywa na atrakcjach. Poza kolumnadą, w głębokich wnękach, mieszczą się czytelnie i stoły do gry w boule'ę. Olbrzymia przestrzeń, jaką zajmuje główna sala, jest ściśle zastawiona stolikami, dookoła których grupują się, miłośnicy muzyki i śpiewu. Codziennie po obiedzie, lub wieczorem można spędzić parę godzin bogatych w doborowe wrażenia artystyczne. Program zestawiony jest ciekawie i umiejętnie, bo prócz poważnej muzyki, niejednokrotnie całych oper, ilustrowanych śpiewem pierwszorzędnymi artystami i artystkami scen światowych, przepleciony bywa licznymi barwnymi i atrakcyjnymi produkcjami, na pierwszy plan których wysuwają się zazwyczaj tańce charakterystyczne i świetnie ujęte popisy z dziedziny ekwilibrystyki. Programy zmieniają się trzy razy tygodniowo. Otóż przez czas mego kilkotygodniowego pobytu zanotowałam w pamięci przewagę programów, w których najgorętszy entuzjizm budził świetnie tańczony kozak „z prisiudami” i triumfalnym wyrzuceniem czapki na zakończenie. Sala, dosłownie przepełniona, trzęsła się od braw frenetycznych, a z ust do ust podawano sobie wyrazy szczerzego zachwyty, jakiego nie skąpiono nigdy parze rosyjskich tancerzy.

Przed oczami mojej wyobraźni fruwały barwne wstążki krakowskiego kostjumu, grały tęczowe paciorki, brzękały z cicha podkówek i lśniły się, złociście szyte kołnierze krakowskich kierezyj i gorsety. Zdawało mi się przez chwilę, że wystarczy skierować wzrok na deski estrady, a wizja ucieleśni się

i dorodna smukła para, w strojach, niczem z obrazu zdjętych, pójdzie w tan na nutę skoczego, figlarnego krakowiaka. Ze chłopiec, jak malowanie, w pasie tysiącem kółek zdobnym, pochyli się do kolan, dziewczynie, niczem pszeniczny łan, co drga za letnim podmuchem, że pawie piórko zawiadającej rogatywki, proch z przed drobnych, barwnie obutych, zmiecie nóżek i powiedzie je w płas zawrotny, w płas, co dorówna skalą budzonego entuzjazmu akrobatacznemu, a tak gorliwie podziwianemu kozakowi.

Sledziłam z zaciekawieniem przeszłe i przyszłe, zapowiadane zawsze zgóry programy, ale niestety, nic polskiego nigdy nie przedarło się do wonnych i ślicznie wydawanych zeszytów, co głosiły sławę estradową wszechnarodowości. A przecież kierownicy takich imprez, jak wszelkie zagraniczne kasyna głodni są atrakcyjności i czekają tylko ofert, zapomocą których wpleśby mogli w korowód tych co przejść mają w czasie sezonu przed oczami zblazowanej i wybrednej publiczności, ciekawą a treściwą nowość.

Gdyby tak ktoś złożył czwórkę pierwszorzędnymi tancerzy, dodając im muzyka (bo naszych polskich tańców zagranych nieodpowiednio i bez zrozumienia tańczyć nie sposób), ustroił ich w barwne, narodowe kostjумы i rzucił na deski scen i estrad świata, ręczę, że jedno tournè, dałoby z punktu widzenia propagandy większe rezultaty, niż szeregi artykułów prasowych, lub odczytów, które uświadamiają nadal w zbożnej ignorancji szerokie masy. Przemówić do wyobraźni ogółu, rzucić przed oczy jego rzecz niezapomnianą, coś, co zapisze się trwałym rylcem w oczach, w sercu, w duszy, w pamięci,



oto dorobek niełada. Za wszelką cenę trzeba nam budzić zainteresowanie, trzeba kazać poznawać obcym duszę naszego narodu, nasze życie, obyczaje, tradycje, stopień naszej kultury, aby tacy panowie, jak Olivier d'Etchegoyen nie śmieli narzucać światu pod pełnym nieudomowien tytułem „Pologne, Pologne... fin d'une légende“ steku obelg, wyrosłych z tendencyjnej chęci zohydzenia wszystkiego, co naród ma najświętszego.

Wyżej wspomniany autor, pod pokrywką pamiętników, spisanych w czasie swego pobytu w Polsce, gdzie bawił jako major wojsk francuskich, idzie tak daleko, że nie tylko bryzga cuchnącem błotem na kobietę Polkę wogóle, nie tylko przedstawia nas, jako barbarzyńców, jedzących czarny chleb i pijących wódkę haustami, ale posuwa się aż do wyśmiewania naszego kultu religijnego dla Matki Boskiej i tradycyj związanych z katolicyzmem.

Za wszelką cenę, kosztem największego wysiłku trzeba wołać w głos po świecie, że żyjemy, że stoimy na równym poziomie z innymi krajami cywilizowanego świata, że niewola i tragedia naszego losu wstrzymała nasz twórczy pęd siłą rzeczy, ale nie pogruchoła skrzydeł, których lot górny nie zasługuje na to, aby w kilkotygodniowej wędrówce po świecie, raz jeden spotkać się ze słowem „Polonia“, a w jaki sposób opowiem.

Na dworcu w Medjolanie przywarła do szarej ściany niewielka kartka bristolu, na której, jakaś „artystyczna ręka“ rzuciła zlekka podmalowany szkic. Kozak o twarzy opitej, nabrzęklej, naznaczonej



jakaś niezdrową pijacką lubością, zataczający się, z czerwonym wielkim nosem, trzyma w ręku pękatają flaszkę. Za pasem groźnie zatknięty kindżał, majtki bufiaste, zda się, że chwila, a wizerunek zadrza obmierzłą czkawką pijacką. Pod spodem ślicznym wyraźnym, czytelnym rondem, wypisano: „Aqua Polonia Russa“.

W czym leży sekret, że naród, który ma tak wielkie dane do przodowania, jest jeszcze ciągle „sługą narodów“? Czy rozwiązanie to nie zamyka się czasem w niedawno wypowiedzianem przez pana Ministra Skrzyńskiego, z okazji genewskiego konfliktu zdaniu, zaczynającym się od słów... „Polska jest za dumna“.

Tak, może rzeczywiście Polska jest za dumna, aby rozstawić łokcie i iść przez zwarty tłum, wołając: „Miejsca, miejsca i uwagi, bo Polska idzie“.

Tak się dziś zwykło czynić, dzisiaj... po wojnie.

Zanim jednak pogrążymy się nadal w kontemplacyjne oczekiwanie wymiaru sprawiedliwości, tak harmonijnie licujące z naszą duchowością wczorajszych niewolników, co w głębiach tej nad miarę udręczonej duszy nie przestali, ani na chwilę być pod maską sfinksa prawowitymi władcami, baczmy, czy polityka milczącej godności nie prowadzi nas ku przegranej i czy nie najwyższy czas, w tym okresie królującej reklamy, pójść w świat, na przeciw ludzi dobrej i złej woli z barwnym, rzucającym się w oczy, ale pięknie malowanym afiszem, na którym wielkimi widocznymi literami wypisanem będzie: „Polska idzie“.

W. N ska.

## ZDROWIE NASZYCH RODZIN A SŁUŻBA DOMOWA

Przy wyborze służby domowej zwracamy zwykle uwagę na jej kwalifikacje, uzdolnienie, świadectwa, pracowitość, czystość i t. d., a rzadko kładziemy nacisk na jej zdrowie, będące jednym z warunków zdrowia rodziców, a przedewszystkiem dzieci.

Jako lekarz, poznałam wiele bolesnych dramatów w domach ludzi nawet wysoce inteligentnych i kulturalnych, którzy wskutek nieświadomości, lub niedbalstwa, nie zwrócili uwagi na zdrowie służącej, która bezwiednie była rozsądnikiem choroby.

Chorobami chronicznymi, grożącymi zakażeniem domowników, jest gruźlica i choroby weneryczne.

Gruźlica jest chorobą ciężką, lokalizującą się najczęściej w płucach, wywołuje ją prątek, który wraz z wydzieliną płuc, plwociną, dostaje się na podłogę, chustkę, lub przedmioty otaczające chorego, a stamtąd do ustroju człowieka zdrowego, często gruźlica przez drogi oddechowe dostaje się do płuc, albo przez jamę ustną i przewód pokarmowy do gruczołów limfatycznych, a stąd przeniesić się może do płuc, lub do każdego innego narządu, wywołując w nim sprawę gruźliczą.

Ustrój dziecka jest wyjątkowo uczulony na działanie bakterij gruźliczych, zakażenie gruźlicą następuje niezmiernie łatwo, a skutki zakażenia są nieobliczalne.

Przy obecnych warunkach, gdy prawie każda kobieta musi dopomagać swemu mężowi w pracy zarobkowej, dzieci swe z żalem wielkim pozostawia na opiece służącej. Służąca je ubiera, kąpie, karmi, bawi się z niemi i wciąż z dzieckiem przebywa. O ile służąca ta jest chora na gruźlicę, zjawia się wiele okazji do zakażenia dziecka!

Osoba ta, gdy jest niedbałą, kaszle nad główką dziecka, pluje na ziemię, lub do chustki, nie myjąc rąk podaje dziecku pokarm, często przez niedbalstwo posługuje się dziecku chustką, próbuje jedzenie jego łyżeczką i t. d.

Gruźlica u bardzo małych dzieci jest chorobą śmiertelną, u starszych przechodzi w chorobę chroniczną, która stopniowo wyniszcza organizm i prowadzi też często do śmierci w o rescie późniejszym. Dziecko staje się blade, szczupłe, wyniszczone, więdnąc w oczach matki, kaszle, w nocy poci się



silnie i pod wieczór gorączkuje. Rodzice często przyjmują to za przemijającą dolegliwość, warunków życia dziecka nie zmieniają, aż choroba wybucha gwałtownie, a wtedy następuje próżny żal i rozpacz matki.

Możnaby tego jednak uniknąć przez wczesne zbadanie niańki i odsunięcie jej od dziecka. Badanie to polegać musi na bardzo szczegółowej poradzie lekarskiej, badaniu płwociny, prześwietleniu płuc, lub ewentualnej próbie serologicznej.

W normalnych warunkach wszystko to pociąga za sobą duże koszty. Ułatwić sobie to jednak można przez zapisywanie stale służby do Kasy Chorych. Instytucja bardzo pożyteczna, a niedoceniana przez chleboborców. Przymus zapisywania służby do Kasy Chorych istnieje, lecz wskutek braku należytej egzekutywy, nie przeprowadza się go w całej rozciągłości. Opłata za służącą minimalna 3—5 zł. mies., a wiele dobra dla domu? Badanie służącej przez 2 specjalistów (internistę i wenerologa), zrobienie badań płwociny, krwi, moczu, próby serologiczne, zdjęcie Rentgena (w razie potrzeby) kosztuje skromnie licząc do 150 zł.

Ubezpieczenie służącej ogranicza te koszty za ledwie do kilku złotych wpisu. Wiele pań narzeka na przymus zapisywania służby do K. Chorych. Jak niesłusznie. Bo lata całe służąca może być zdrową i nie korzystać z leczenia i leków K. Chor., lecz w jakimś nieszczęśliwym wypadku, lub cięższej chorobie, odrazu ułatwia transport służącej do szpitala, operacje, pobyt w szpitalu, wizyty lekarskie w domu i lekarstwa.

Na możliwość choroby służącej trzeba być przygotowaną, a przecież o wiele łatwiej jest opłacać drobną sumę miesięcznie, a mieć zapewnioną pomoc w ciężkiej chorobie, której koszt z obowiązku spadają przecież na chleboborców.

Jakże często jednak nie pamięta się i lekceważy stan zdrowia służby! Wypadki zakażenia gruźlicą dzieci przez niańki zdarzają się nawet i w domach lekarzy! Za smutny przykład niech służy wypadek dziecka, zakażonego gruźlicą przez niańkę, synka profesora, słynnego ginekologa ze Lwowa.

Nie należy poprzestawać na obejrzeniu powierzchownem. Pamiętać trzeba, że gruźlicą dotknięte osoby stare są pozornie zupełnie zdrowe, mogą nie kaszleć, nie gorączkować, dobry mieć wygląd zewnętrzny, a być mimo to rozsądkiem tego ciężkiego cierpienia.



Choroby weneryczne, które mogą się udzielić dziecku od służby, są to rzeżączka i lues. Obecne zepsucie, ciężkie warunki życia, nędza wyjątkowa proletariatu sprzyjają rozwojowi tych cierpień. Wśród służących, udający się o poradę, stwierdzić mogłam 40% chorych wenerycznie.

Że i przypadki chorób wenerycznych zdarzają się wśród służby u lekarzy, ludzi bądź co bądź dbałych o zdrowie służby, niech świadczy przykład, który niedawno zanotowałam w mojej praktyce.

Oto zjawiała się u mnie kucharka znanego chirurga w Warszawie, dziewczyna pozornie zdrowa, elegancko ubrana w różowym crêpe de chinowym dessous. Stwierdziłam u niej tak olbrzymie owrzodzenia na częściach rodnych i takie rany w ustach i na języku, jakie spotyka się chyba obecnie na kresach w zapadłych wsiach, lub w Bolszewji.

W takich wypadkach pomoc mają Panie w Kasie Chorych. Służącą zabezpieczoną w K. Chor. należy wysłać do specjalisty celem oględzin lekarskich i prób serologicznych. Dla pamięci, zaznaczam, że, wysyłając służącą na wizytę, należy ją zaopatrzyć w zaświadczenie z podpisem chlebobawczy i datą, stwierdzające, że dana osoba u swej pani służy i opłaca składki. Bez tego zaświadczenia i książki członkowskiej chora przyjęta nie będzie, straci pół dnia czasu i wróci rozgoryczona do domu.

Rzeżączką służąca może zakażać dziecko, lub domowników przez używanie gąbki, ręczników, miednicy, wanny, pościeli i branie dziecka do swego łóżka, a także przez podmywanie niemowlęcia swoją ręką.

Lues udzielić może przez całowanie dziecka, jedzenie jedną łyżką, używanie wspólnej szczołki do zębów, karmienie piersią, a także przez te czynniki, co i przy rzeżączce. Stale, co pewien okres czasu, mam w leczeniu kilkoro dzieci chorych na lues, a zakażonych przez mamkę.

Często spotykałam w mojej praktyce lekarskiej dziewczynki zarażone rzeżączką od służącej nie leczonej i nie zdającej sobie nieraz sprawy z tego, że jest chorą.

A zatem strzeżmy zdrowia młodego pokolenia, a nie znając wszystkich dróg zakażenia, brońmy dzieci nasze przed chorobami roznoszonymi przez służbę. Badajmy jak najstaranniej stan zdrowia fizycznego służby, którą przyjmujemy do naszego domu.

Dr. J. Mozołowska.

## PIŁKA LATAJĄCA

(VOLEY - BALL)

Wśród wielu znanych u nas i uprawianych gier sportowo-towarzyskich w czasach ostatnich bardzo energicznie rozpowszechnia się amerykańska gra, zwana „voley-ball”, co w tłumaczeniu na język polski brzmi: „piłka latająca”.

Piłka latająca posiada rzeczywiście poważne zalety zarówno sportowe, zdrowotne, jak i przyjemnościowe. Tem się też tłumaczy szybki jej rozwój na całym świecie, tem się także tłumaczy fakt, że gra powyższa wprowadzona do klubów i szkół przy-

muje się z łatwością i uprawiana jest z zamiłowaniem.

Zważywszy, że zasady gry w piłkę latającą są niezmiernie proste i że uczestniczyć w tej grze może dowolna liczba osób, sądzimy, że opisanie czytelnikom naszym tej gry może być dla nich z korzyścią. W czasie wypoczynku letniego, zarówno dla młodych, jak i dla starszych, grę w piłkę latającą będzie rozrywką przyjemną i pożyteczną.

Dla gry w piłkę latającą potrzebny jest wyrów-



nany teren długości od 12 — 18 mtr. i szerokości od 7 do 10 metrów. Teren taki należy podzielić na dwie połowy przez zawieszenie na dwóch stojakach siatki, tak, aby górny brzeg jej znajdował się na wysokości 2 m. 40 nad ziemią. Szerokość siatki 90 cm., długość od 9 — 12 mtr.

Granice boiska należy oznaczyć linjami (najlepiej wapnem). Poza tylnymi granicami boiska z obu jego stron należy wykreślić kwadrat (bok = 1 mtr.) dla podającego piłkę.

Piłka powinna być krwta skórą, dęta. Obwód 65—70 cm. Waga 220—270 gr.

W grze biorą udział dwie partje o jednakowej liczbie graczy. Cyfra graczy wahać się może od 2 do 10 w każdej partji.

Zasada gry polega na tem, że każda partja zajmuje jedną połowę boiska, poczem piłkę przetrzuca się przez siatkę z jednej strony na drugą. Każda z partyj stara się o to, aby piłka nie upadła na ziemię w obrębie własnej połowy terenu, starając się zarazem tak przetrzucać piłkę przez siatkę, aby ta upadła na ziemię po stronie przeciwnika.

W chwili, kiedy mamy teren, zawiesiliśmy siatkę, podzieliłiśmy się na dwie partje, przystępujemy do gry.

Losowanie decyduje o tem, która partja wybiera połowę boiska i rozpoczyna grę. Pozostałą połowę boiska zajmuje druga partja. Następnie gracze każdej z partyj rozstawiają się na swoich boiskach, w sposób dowolny. Po rozstawieniu graczy, partja, która zaczyna grę, wyznacza jednego ze swoich, który idzie do wykreślonego na końcu boiska kwadratu i rozpoczyna grę, podając ją. Podanie piłki skutecznia się w sposób następujący: piłka zostaje podrzucona lekko do góry, poczem podbita obiema rękami, tak, aby przeszła nad siatką na boisko przeciwników. Po podaniu piłki podający wraca na swoje boisko i bierze udział w dalszej grze. Jeśli piłka przy podaniu dotknie siatki, uważa się ją za straconą: dana partja traci piłkę, którą otrzymuje do podania partja przeciwna. O ile piłka nie przejdzie nad siatką i upadnie na boisku podającego gracza, piłka także jest stracona.

Dobrze podaną piłkę gracze przeciwnej partji starają się odbić z powietrza na przeciwną stronę i tak dalej. Piłka może być podbita na tem samym boisku przez kilku graczy, zanim zostanie przetrzucona przez siatkę, nie może natomiast być dotknięta dwa razy z rzędu przez tego samego gracza.

Jeżeli jedna z partyj, odbijając piłkę, nie zdoła jej przetrzucić zpowrotem na drugą stronę boiska

i piłka upadnie na jej własne boisko, następuje wówczas jej spalenie. Piłka jest również spalona, o ile się dotknie piłki poza obrębem boiska. Piłka, która upadła na linię graniczną — jest dobra.

Jedna partja podaje piłkę dopóty, dopóki jej nie straci, poczem piłka zostaje podawana przez drugą partję. Piłkę można stracić przez: popełnienie błędu, upadek piłki na własnym boisku, wyrzucenie piłki poza granice boiska przeciwników.

Piłką podawana jest kolejno przez wszystkich graczy każdej partji. Każdy gracz podaje piłkę dopóty, dopóki nie zostaje ona stracona. O ile ta sama partja odbiera następnie piłkę przeciwnikom, podaje ją następnemu gracz. O ile piłka zostanie odbita przez jakąś naturalną przeszkodę na boisku, zostaje podana powtórnie przez tego samego gracza.

Gra trwa przeważnie do 15 punktów. Po każdej skończonej grze drużyny zmieniają boiska. Rozpoczyna grę drużyna zwyciężona.

Wyniki, czyli punkty, oblicza się w następujący sposób: punkt otrzymuje drużyna, której przeciwnik a) wyrzucił piłkę poza granicę boiska, b) jeśli piłka upadła na boisko przeciwnika.

Dla notowania wyników — niezbędnym przy grze jest sędzia. Sędzia winien stać przy środkowej granicy boiska, skąd najlepiej obserwować przebieg gry. Sędzia daje gwizdkiem znak o każdym podaniu piłki, liczy punkty oraz rozstrzyga kwestje sporne.

Na zakończenie opisu zanjujemy, że gracze nie wolno podbijać piłki dwa razy z rzędu, przetrzymać piłkę w rękach, podać piłkę bez gwizdka sędziego (jeśli sędziego niema, podający ostrzega wyrazem „proszę“ przeciwników swych o mającem nastąpić podaniu), dotknąć siatki ciałem przy odbiciu.

Jeśli błąd popełni drużyna podająca traci piłkę, nie tracąc punktu. Jeśli natomiast błąd robi drużyna odbierająca — to punkt otrzymuje drużyna przeciwna.

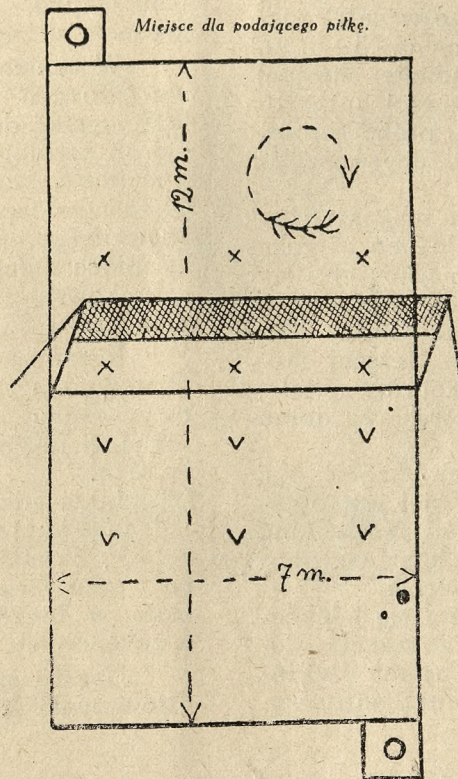
Co do wielkości boiska — wszyscy gracze przed grą, w zależności od liczby ich, ustanawiają sami przed grą.

\* \* \*

Z opisu wyżej podanego — czytelnicy łatwo zorientują się, że piłka latająca jest grą bardzo łatwą, bez trudu dającą się zastosować w każdym miejscu, nie wymagającą prawie żadnych kosztów.

Przy pewnej wprawie — grający uprawiają „volley ball'a“ z całą przyjemnością, przebywając długo i chętnie na słońcu, powietrzu i — co najważniejsze — w ruchu. Tak bardzo bowiem — ludziom miast przedwzrostkiem — właśnie ruchu brakuje.

K. M.





## NORMALIZACJA RACHUNKOWOŚCI DOMOWEJ

Już nieraz na łamach „Bluszczu“ poruszałam sprawę konieczności układania dokładnego budżetu w każdym gospodarstwie domowym i niezłomnego stosowania swoich wydatków do tego budżetu. Układałam nawet budżety zastosowane do pewnej, danej cyfry dochodów dla poszczególnych czytelniczek „Bluszczu“. Rezultat tej mojej mozolnej i zupełnie bezinteresownej pracy powinienby mnie być zniechęcić nazawsze, gdyż prawie każda z moich korespondentek odpowiadała z oburzeniem, że mój budżet jest do niczego — bo ona przy tych obecnie posiadanych dochodach wyżyć z rodziną nie może.

Otóż po pierwsze było tu to małe nieporozumienie, że przez ułożenie budżetu dochodów się nie powiększa, na co widocznie liczą te panie, budżet może tylko dopomóc w racjonalnym ich podziale z uwzględnieniem wszystkich potrzeb rodziny. Po drugie, te panie mogły wyżyć z dochodów posiadanych — bo wyżyły, a przecież przypuszczam, że nie kradły, nie rozbijały i nie były w konflikcie z żadnym innym z dziesięciorga przykazań — tylko zawsze wydając na jedno za dużo — wobec czego drugiego trzeba się zupełnie wyrzec. Jednak dotychczasowe moje pogawędki o sprawach finansowych oparte były li tylko na mojem własnem doświadczeniu, teraz chcę napisać słów kilka o tem, co mówi tak modna obecnie Christian Fréderick. Przedewszystkiem zaznacza ona, że otrzymuje masę listów z wyszczególnieniem sumy dochodów, ilości członków rodziny, wysokości płaconego komornego, gustów, przyzwyczajęń i wymagań poszczególnych członków rodziny z prośbą ułożenia dla nich normalnego budżetu: „Niech mi pani wskaże, jak mam się rzadzić finansowo?“ kończy się tem większość listów.

Jak dobrze znam takie listy, jak często sama takie same otrzymuję? Widocznie i w Ameryce każdy myśli tylko o sobie, cudzy czas uważa za rzecz zupełnie bez ceny, cudzą pracę chce wykorzystywać dla siebie, aby samemu nie pracować, nie myśleć, bo to zmęczy. Pani Fréderick odpowiada kategorycznie, że budżet może i powinien ułożyć każdy sam sobie i tylko sam sobie. Przyczem zaczyna od tego, że w ułożeniu i wykonaniu budżetu domowego konieczna jest ścisła, zgodna i dokładna współpraca męża i żony. Bo cóż pomoże największy ład i porządek w domu, największa oszczędność i zapobiegliwość żony, jeżeli pan jej i władca będzie robił lekkomyślnie nadmierne wydatki osobiste, lub co gorzej wyrzucał pieniądze za domem,

Pierwszym więc warunkiem prawidłowego budżetu i rachunkowości jest obustronne zrozumienie jego konieczności i zgodne ułożenie sposobu prowadzenia domu i życia towarzyskiego. Bo do tych dwóch rzeczy musimy zastosować wydatki na życie, na ubranie, na przejazdy, i t. d. i t. d. Oprócz życia, ubrania, opału, komornego, opłaty służby i innych wydatków przewidzianych, w budżecie powinny być uwzględniane wydatki nieprzewidziane, jak choroba, nagły wyjazd, takie wydatki mogą być pokryte z rubryki „oszczędności“, która w każdej chociażby najskromniejszej rachunkowości figurować powinna.

Pani Fréderick nie mówi wcale o jakichś wysokich sumach dochodu, ma ona przedewszystkiem na względzie ludzi o skromnych środkach, mających od 1000 do 2000 dolarów rocznie, co odpowiada, jeżeli odrzucić chwilowa dewaluację, 5.000 do 10.000 złotych rocznego dochodu u nas, a zatem środki

skromne, przy których u nas rzadko kto ma odwagę zakładać rodzinę, a przynajmniej mieć dzieci i prowadzić samodzielne gospodarstwo. Uważa ona, że podział procentowy wydatków powinien być następujący: Komorne 20%, odżywianie się 25%, ubranie 20%, wydatki osobiste 15%, oszczędności, wydatki społeczne i dobroczynne, rozrywki artystyczne i umysłowe 20%.

Według tego więc radzi ułożyć pierwszy budżet próbny, cyfry poszczególne razem dodane powinny się mieścić w cyfrze przewidywanego dochodu. Kto prowadził rachunkowość, chociażby niedokładną w roku ubiegłym, może z niej czerpać pomocnicze dane. Zaprowadzenie książki rachunkowej, podzielonej rozsądnie na rubryki, nie obciąża już dzisiaj poszczególnych osób, takich książek jest już sporo i coraz ich więcej przybywa, prawie każda z nich nadaje się zupełnie dobrze do domowego użytku.

Już po pierwszym miesiącu będziemy mieli cenne wskazówki, książka wykaże nam jasno:

Na co każdy grosz został wydany.

Da nam porównanie cen poszczególnych artykułów i wskazówkę w jakim kierunku możemy porobić redukcję, aby zmniejszyć rozchód.

Wskaże jasno na jaki artykuł wydajemy za dużo w stosunku do całości kształtu naszych dochodów.

Wykaże jakie artykuły najbardziej obciążają nasz budżet.

Da wam przeciętną wydatku miesięcznego na każdy poszczególny, artykuł, co będzie ceną daną przy układaniu następnego już praktycznie wykonalnego budżetu.

Wskaże nam, które wydatki są zbędne i które można zredukować.

Wykaże słabe strony waszego gospodarstwa, te słabe strony, których nieraz dotąd nie podejrzewałyście.

Pani Fréderick jest przeciwniczką asygnowania pewnej określonej sumy na wydatki domowe i na ubranie pani domu, a pozostawienie reszty w rękę męża. Uważa dom za interes wspólny, męża i żonę za współników, jednakowo zainteresowanych w dobrem prowadzeniu tego interesu i mających prawo jednakowo czerpać z dochodów w miarę potrzeby. Według niej danie przez męża żonie pewnej sumy na dom i ubranie jest obrazą jej godności osobistej. Otóż tutaj pozwolę sobie z nią się wcale, a wcale nie zgodzić. Może Amerykanie są innymi ludźmi, nie podlegającymi tysiącom słabostek rozpowszechnionych na starym kontynencie. Wprawdzie sama uważam, że danie przez męża żonie tyle, a tyle na dom i tyle, a tyle na ubranie, jest formą raczej nieuprzejmą dla niej, ale oboje razem powinni dojść do porozumienia ile na te dwie, lub na więcej pozycyji wydatków, którymi rozporządza żona, wydać, mogą i suma ta powinna przejść do jej wyłącznej dyspozycji — aby jakiś wydatek pozadomowy, jakaś przegrana w karty, jakiś hojny gest społeczny, lub dobroczynny nie zahamował biegu codziennego życia domowego, nie stanął na przeszkodzie opłacie szkoły, pensji służby, krawcowej, praczki i t. p.

Chyba że — a podobno to się częściej zdarza, niż się nam zdaje, pani ma taką skłonność do gałganków, że wszystko, co w jej ręce trafi, idzie do krawcowych i modystek — wtedy kasa pozostaje oczywiście przy panu, jest to jednak takąż samą anomalją, jak pan, obstalujący obiady, konferujący

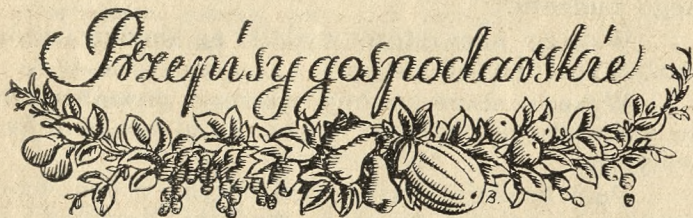


z kucharką, lub robiący zakupy na targu, anomalją, wywołaną nieraz przez słabostki gastronomiczne tego pana, czasem przez jego skąpstwo i t. p. W wypadkach, kiedy pani myśli tylko o strojach, a pan tylko o rozrywkach za domem, o jakiegokolwiek racjonalnej rachunkowości w ogólności być nie może. To są pozycje stracone. To są spółki, które już zbankrutowały i których ratowanie jest czasem straconym.

Jeszcze jedną ciekawą rzecz podkreśla pani Frèderick. Radzi wszystko co się da kupować za gotówkę, nawet rachunki za mleko i lód (stanowiący w Ameryce niezbędny artykuł w każdym gospodarstwie, u nas temu wydatkowi odpowiadałoby pieczywo, które znowu w Ameryce wyrabia się w domu) regulować co tydzień. Szczególniej u nas, gdzie panuje manja, prawie choroba kupowania wszystkiego na raty, ludzie słabi dają się porwać chęci nabycia całego szeregu rzeczy może nawet potrzebnych, ale jednak nie niezbędnych. Rezultatem tego jest takie obciążenie miesięcznych dochodów wypłatami rat, że wydatki zwykłe, normalne już nie znajdują miejsca dla siebie. O tem, że płacąc ratami, płacimy za wszystko znacznie drożej, zupełnie nie chcemy pomyśleć.

Daleko racjonalniej byłoby chyba, przewidując jakiś większy wydatek, kilka miesięcy przedtem zacząć odkładać pewną sumkę, aby móc potem pokryć to odrazu. Przy dzisiejszych stosunkach kupując za gotówkę [można tak poważne redukcje cen osiągnąć, że warto o tym nie nowym, ale zato niezawodnym systemie pomyśleć.

*Pani Elżbieta.*



## WĘGORZ.

Najsmaczniejsza i najdelikatniejsza z ryb naszych, często pomawiana o to, że jest niezdrowa, niestrawna i t. p. Oczywiście, węgorz jako ryba tłusta, nie jest wskazana dla osób o słabym trawieniu, ale równie niezdrowym byłby dla nich łosoś, jesiotr, czy nawet lin, lub karaś.

Przy przyrządzaniu węgorza należy tylko uważać, aby był dokładnie dogotowany, lub dosmażony, gdyż surowy jest stanowczo niestrawny, to też nawet mając smażyć, lub dusić węgorza, najlepiej go w pierw dobrze ugotować. Dawniej uważano za konieczne zdzieranie skóry z żyjącego węgorza.

Nie wiem, jak dalece węgorz ma rozwinięty nerw czucia, w każdym razie sądzę, że zdzieranie skóry z żywej ryby jest niepotrzebnym zęcaniem się, i że chcąc tę czynność wykonać lepiej węgorza zabić, uderzając go kilka razy mocno po głowce, gdy się przestanie ruszać dopiero wtedy przystąpić do tej czynności. Ja osobiście uważam to zdzieranie skóry za zupełnie zbyteczne, należy tylko węgorza

starannie oczyścić nożem, a potem ostrą szczotką ryżową, komu jeszcze tego mało, może go ze służu obetrzeć grubym piaskiem rzeczonym, potem starannie wypłókać w kilku wodach, wypatroszyć (przy samej głowce, uważając aby nie rozduścić pęcherzyka z żółcią), krajać na dzwona i solić jak zwykle każdą rybę.

Jadłam węgorza we Francji, w Niemczech i w Nadbałtyckich prowincjach (obecnej Łotwie), wszędzie go gotują ze skórą, która jest tłusta i po ugotowaniu bardzo delikatna, kto jej jeść nie chce, może ją usunąć widelcem na talerzu, zejdzie łatwo. Na wsi szczególnie, gdzie latem o ryby świeże trudno, węgorz jest bardzo w kuchni pożyteczny, przede wszystkim dlatego, że się daje doskonale przenosić na najdalsze przestrzenie żywy i już przywieziony dni kilka w wodzie, lub nawet w wilgotnym mchu żywym przechowany być może. Następnie można go w każdym kominie uwędzić, po uprzednim nasoleniu przez godzin dwanaście. Chcąc, aby miał ładny kolor, należy do soli dodać na funt soli łyżeczkę salet. y. Węgorz się wędzi w ciepłym dymie, aby jednocześnie się nieco upiekł najlepiej jest na ramce z cienkich drewniek rozpiąć starą siatkę, na niej ułożyć węgorze i powiesić w kominie.

Wieszając za ogon, lub za głowę, zawsze jedna część będzie więcej uwędzona i upieczona, niż druga. W dużych wędzarniach na Pomorzu wędzą węgorze wiszące, lecz mają na to specjalne komory z równomiernem gorącym.

Drugim sposobem konserwowania węgorza jest marynata z niego. Węgorz ugotowany, lub usmażony zalewa się przegotowanym z pieprzem, zielem i listkiem octem i trzyma przyciśnięte denkiem, lub talerzem w chłodnym miejscu.

Węgorza w galarecie, jak wiele osób chce to czynić, wcale przechowywać nie można, gdyż galareta latem już po kilkunastu godzinach kwaśnieje i może wywołać zaburzenia żołądkowe.

Najtrwalszą marynatą jest tak zwana klasztorna. Węgorza, czy inną rybę, płata się wzdłuż, aby kawałki nie były grube, kraje na dzwona, soli, tarza w mące i smaży na oleju, oliwie, szmalcu, lub maśle tak długo, aż ryba się wyda być zupełnie sucha nawet wewnątrz. Po zupełnem ostudzeniu układa się ją w kamiennym słoju i zalewa zupełnie zimnym octem przegotowanym z korzeniami i cebulą, którą należy odrzucić, i trzyma przyciśniętą talerzem i ciężarkiem w lodowni. Ryba w occie znów odmięknie i stać może, nawet latem, dwa tygodnie nie psując się.

## ROSÓŁ I POTRAWA Z WĘGORZA

Węgorza, ważącego około półtora kilo (mniejsze są za cienkie), oczyścić jak zwykle, pokrajać na dzwona i osolić. Dwa i pół litra wody zagotować z całą marchwią, połową pietruszki, kawałkiem selera, przyrumienioną na blasze cebulą, listkiem, pieprzem i solą, do wrzątku wrzucić węgorza i gotować, aż tak zmięknie, że łatwo od ości ryba odstać będzie.

Kawałki węgorza wyjąć, osączyć na sicie, ułożyć na stolnicy, przycisnąć deską, aby się kawałki

**„MÓJ KREM“ i „MÓJ PUDER“ HIGJENICZNY** WE WSZYSTKICH ODCIENIACH

DR. MED. J. ŚWITALSKA.

SKŁAD GŁÓWNY TOW. AKC. KARPIŃSKI — ELEKTORALNA 35



ładnie spłaszczyły, do rosółu wrzucić pokrajane w zgrabną kostkę kartofle, gotować, aż zmiękną. Wsy-pać do wazy garstkę zielonego, siekanego koperku, wyać na to rosół i podawać. Zamiast kartofli można użyć drobnej kaszki ugotowanej z masłem i koperkiem, zastudzonej na płaskim talerzu i pokrajanej w kostkę, lub też kaszy perłowej ugotowanej od-dzielnie z kawałkiem masła. Rosół z węgorza mogą jeść osoby o najsłabszym trawieniu, jest absolutnie nieszkodliwy, a bardzo smaczny.

Węgorza po zupełnym wystygnięciu utarzać na-przód w mace, potem w rozbitym jajku, nakoniec w tartej bułeczce, usmażyć na rumiano na masle, lub szmalcu i polać sosem musztardowym z kapa-rami, do niego podać kartofle z wody. Na sos za-smażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozprowadzić ro-sołem z węgorza, zakolorować karmelem na blade żółty kolor, wlać łyżkę octu winnego, lub sok z ca-łej cytryny, włożyć łyżeczkę musztardy ostrej (an-gielskiej, lub rosyjskiej), zagotować, dodać łyżeczkę cukru, garść kaparów, lub korniszonów drobno kra-janych, zagotować parę razy i wydać do węgorza. Zamiast podawania węgorza z sosem można tak usmażonego węgorza obłożyć groszkiem zielonym, marchewką, samą, lub mieszaną z groszkiem, fasolą zieloną czy żółtą, kartoflami młode, czyli prawie każdą letnią jarzyną.

Można też węgorza ugotowanego w zupie po dać z sosem musztardowym, lub zwykłym białym, koperkowym, nie smażąc go wcale. I jeden i drugi sposób daje sposób doskonałego wykorzystania ry-by i zrobienia z niej całego obiadu. *Pani Elżbieta*

## KORESPODENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

*Pani K. S. Lubicz.*

Wyczerpujące wskazówki o hodowli pomidorów zamieści-my w najbliższym numerze „Bluszczu”.

*Pani M. H. w Grabowie.*

W kwestji jaj kurzych i kaczyc, a także sprowadzenia prosiąt, zechce Sz. Pani zwrócić się do sekcji hodowlanej Sto-warzyszenia Ziemianek: Warszawa, ul. Marszałkowska 149.

*Pani B. M. w Szydłowie.*

Musiła Sz. Pani posiać cebulę na świeżym nawozie, czego nie znosi i ginie od białych, lub bardzo żółtych liszyczek, zależ-nie od jakiej pochodzą muchy.

*Pani S. S. w Zagórz.*

Aksamity i welwety bardzo są noszone, na płaszcze jed-nak najbardziej używają materiałów czarnych, jedwabnych praż-kowanych, lub raczej atlasu na odwrotnej stronie kolorowego. Do teatru tualeta zależna jest od miejsc, do których się idzie, na dalsze tem skromniejsza. Dzisiejsze czasy pozostawiają zupeł-ną swobodę w ubraniu. Do krzesel parterowych musi być goła głowa, do łoży może być kapelusz, chyba że w karnawale lub na galowe przedstawienie bierze się balową suknię, to i głowa musi być odpowiednia, pantofelki trzeba dostosować do tualety. Na okrycie głowy trzeba mieć elegancki kapturek z crêpe de Chine'u, koronek, tiulu, gazy etc.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

### ODPOWIEDŹ OGÓLNA

Ponieważ najwięcej jest pytań, co robić na skórę tłustą i suchą lub też pojawiające się z wiosną liszaje i opierzchnięcia, przeto odpowiadam na nie ogólną jedną odpowiedzią.

Rozróżniamy trzy typy skóry: 1) suchą, 2) tłustą i 3) po-srednią.

Pielęgnacja skóry suchej powinna polegać na tem, że należy myć twarz w wodzie letniej, natrzeć rano kremem i za-pudrować lekko, wieczorem po umyciu wodą letnią zastosować tylko krem.

Skórę tłustą myć rano i wieczorem wodą gorącą, spłókać zimną. Rano stosować wytarcie twarzy spirytusem re-zorcynowym 2%, wieczorem spirytusem salicylowym 2%, na dzień natrzeć kremem i zapudrować, na noc tylko zapudrować.

Najczęstsza skóra pośrednia, t. j. forma najczęściej spotykana, częściowo tłusta, częściowo sucha, wymaga następu-jącego postępowania. Na noc po myciu letnią wodą spryskać zimną, wytrzeć twarz spirytusem rezorcynowym, rano po myciu letnią wodą wetrzeć „Mój Krem” i lekko zapudrować „Moim pudrem higienicznym”. Paradoksem się zdaje stosowanie przy łojotoku tłustego kremu. Jednak tak nie jest, bo łój ze skóry ściągany środkami odtłuszczającymi i gdybyśmy nie stosowali kremu skóra by się łuszczyła i tworzyłby się zmarszczki. Krem wygładza i chroni cerę przed zmarszczkami.

Z nastaniem wiosny przebywamy więcej na świeżem po-wietrzu i skóra twarzy narażana będąc na zmiany atmosferyczne jest bardziej skłonna do powstawania liszajów. Należy wtedy stosować „Mój Krem” i lekko zapudrowywać, po 2 tygodniach liszaje znikną, skóra się wygładzi.

*Przetensjonalnej.*

Jak należy opalać się, to odsyłam Panią do artykułu me-go „O opalaniu się”. Stosowanie „Mego Kremu” polecam z tego powodu, że tłuszcz rozszczepia promienie światła, każdy z osobna promień silniej działa. Efekt jest taki, że skóra opala się szyb-ciej, ładnie i równomiernie. Wysłałam 2 słoiczki kremu za zaliczką.

*Koteczce.*

Należy myć twarz koniecznie mydłem, tylko najlepszej jakości. Proszę spróbować użyć „Moje Mydło Liljana” Dr. J. Świtalskiej, nadaje się do najdelikatniejszej skóry.

Wyrób i skład hurtowy Tow. Akc. Karpiński ul. Elektro-ralna 35.

*Luśka.*

Na wiosnę bardzo często, pod wpływem wiatru, następuje łuszczenie się skóry twarzy i liszaje t. zw. wiosenne. Przy łuszczeniu się skóry najlepiej robi Pani używanie „Mego kremu”, cena Zł. 6. - . „Mój puder higieniczny” 3 zł. 50 gr., porto 1 zł. Sposób użycia podany przy opakowaniu. Przy łuszczącej się skórze nie używać wody gorącej, lecz letniej. Należy myć twarz rano i wieczorem. Miejsca, gdzie są wągry, wycierać spirytusem rezorcynowym 2%. „Piękność i zdrowie w życiu kobiety” wyj-dzie w maju, dostać ją będzie można w redakcji „Bluszczu”. Cena jeszcze nie ustalona, zależeć będzie od kosztów wydaw-nicznych (około 8 złotych).

*L. S. z Zalesia.*

W kwestji suchej cery odsyłam do odpowiedzi „Luśce”. Na łupież podaję receptę; wcierać na 24 godziny przed umyciem głowy:

Recepta: Sulf. precip. 2,0  
Un. cerei 18,0  
Ol. Meositi gtt. V





Myć włosy raz na 10 dni mydłem ichtjolewem Karpińskiego.

Aby dać radę na wzmocnienie włosów, muszę mieć bliższe szczegóły. Tłuszcz na brzuchu da się usunąć przez odpowiedni masaż, w tym wypadku ziółka Zararaki nie będą miały zastosowania.

*Dębica. K. P.*

Siostrze Pani na zapalenie skóry załączam receptę, nacierać twarz na noc, rano zaś oliwa i puder. Nie myć wodą wcale aż do wygojenia. „Mój krem” używać dopiero po wygojeniu rano i wieczorem.

Na piegi używać moją receptę, a nie krem czeremchowy, jednocześnie nie wolno nic stosować przeciw wągom. Najpierw trzeba oczyścić twarz z wągrów, wycierając spirytusem rezorcynowym 2% i parując twarz 2 razy w tygodniu po 5 minut. Na dzień „Mój krem”. Po usunięciu wągrów stosować masę na piegi.

*E. K.*

Na uregulowanie stolca proszę zastosować sól karlsbadzką przez 6 tygodni, łyżeczkę w gorącej wodzie naczczo. W razie gdyby nie pomogło, proszę jeszcze raz napisać. Najlepiej reguluje masaż odpowiedni, tylko nie zawsze daje się zastosować. Doskonały środek przeczyszczający wyrabia Tow. Akc. Fr. Karpiński w Warszawie w postaci ziółek Chambarda, Hamburgskie, Natansona St. Germain, Hohensztetera, Uniwersalne. Piasek Dr. Seguinod jest bardzo dobry, lecz przy tak wrażliwej skórze, jak Pani podaje, może wywołać rozdrażnienie. Jeśli skóra nie znosi mydła, to proszę go zaniechać, a dodawać do wody łyżeczkę boraksu „Eunice” Karpińskiego. Przy użyciu „Mego kremu” usuwa się liszaje, łuszczenie, i skóra się uodparnia tak, że później będzie można zastosować dobre mydła.

O łojotoku i wągrach proszę przeczytać artykuł w *Bluszczu*.

*Czarnobrewa.*

Usunąć włosy na stałe można jedynie przez elektrolizę, zabieg kosztowny i wymagający długiego czasu. Na jednym posiadzeniu usuwa się około 12 włosów. Zakładów, mających odpowiednio przyrządy, jest wiele. Jeden z najbardziej sumiennych i stosunkowo niedrogi jest zakład Dr. Konstantego Buczyńskiego, Leszno 29. Tam też usuwają bez śladu brodawki zapomocą diatermji.

*N. Lew.*

Środek na piegi. Odpowiadam wszystkim czytelniczkom jednocześnie.

Piegi polegają na odkładaniu się barwika w naskórku, występują zwykle na wiosnę i w lecie. Osoby, mające skłonności do piegów, nie powinny narażać się na działanie promieni słonecznych. Należy wystrzegać się kąpeli słonecznych, natomiast używać równie zdrowych kąpeli powietrznych. Kąpiele słoneczne edynie dopuszczalne z twarzą zakrytą parasolką, lub woalką koloru czerwonego, pomarańczowego, lub brązowego. Niema środka na radykalne usunięcie piegów. Wszystkie, nawet najlepsze, działają tylko chwilowo. Roentgen i lempa kwarcowa działają także tylko na pewien czas, złuszczać naskórek. Stosowanie reklamowanych środków na piegi może wywołać podrażnienie skóry i przyspieszyć tworzenie się zmarszczek przedwczesnych. Mój środek na piegi „Piegolin” wysłałam za zaliczką pocztową, cena zł. 6.—, porto zł. 1.—. Stosować należy po umyciu twarzy letnią wodą na noc przez okres 6 tygodni, aż piegi znikną. Następnie, jako środek ochraniający, używać „Mój krem”. Z chwilą, gdy piegi na nowo się pojawiają, należy na nowo rozpocząć stosowanie „Piegolina”.

*Nauczycielka D. Posądzko.*

Na dolegliwość Pani bez zobaczenia nie mogę nic poradzić, z opisu nie można się zorientować, gdyż sprawa przedstawia się dość skomplikowanie.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 21

455. Suknia z crêpe de chine'u koloru pervenche z karbowanemi falbanami.

456. Suknia z czarnej georgette'y, kamizelka haftowana złotem.

457. Suknia z surowego jedwabiu, przybrana haftem kolorowym.

458. Kostjum granatowy, lamowany taśmą.

459. Palto z czarnego rypsu, przybrane haftem.

460. Spódniczka układana w kontrafałdy i casaque przybrany guziczkami dla dziewczynki dwunastoletniej.

461. Suknia z surowego jedwabiu z żabotem z georgette'y.

462. Spódniczka karbowana i casaque z crêpe marocain koloru orme, kamizelka jaśniejsza.

463. Suknia z surowego jedwabiu układana w kontrafałdy.

364. Suknia z crêpe marocain białego, lamowana czarnymi.

465. Sukienka z kreponu gładkiego i deseniowego dla dziewczynki dwunastoletniej.

466. Suknia z fularu gładkiego i w kratkę.

467. Suknia płócienna, przybrana haftem.

468 - 469 - 470 - 471. Modne fasony kapeluszy.

472. Paltocik z sukienka piaskowego dla pięcioletniego chłopca.

473. Ubranko welwetowe z białą kamizelką dla chłopczyka czteroletniego.

474. Sukienka układana w kontrafałdy i przybrana haftem dla dziewczynki czteroletniej.

475. Sukienka z materiału gładkiego i deseniowego dla dziewczynki dziesięcioletniej.

476. Paltocik z wełny w kratę na pięć lat.

477. Wzór na makatę, aplikacja i haft kolorowy.

478. Merezki do bielizny.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3,50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2,50
bluzka . . . . .	„ 2,00
formy dzieciinne . . . . .	„ 2,00
bielizna . . . . .	„ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:  
obrus - makata - ekran - zł. 2,50, poduszka - serwetka - zł. 1,50, drobne desenie - gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu” nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.





MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALIE



## NAJA TRIPUDIANS

(ŻMIJA EGIPSKA)  
ANNIE VIVANTI

JEST TO: „Mocno napisana i konsekwentnie zbudowana powieść, wyświetlająca wiele problemów etycznych, niepokojących dzisiejsze społeczeństwo.”

Z. RABSKA (Kurjer Warszawski.)

Cena zł. 3 — Z przesyłką poleconą 3.50.

## WSZYSCY ODBIORCY NASZEGO DZIAŁU KSIĘGARSKIEGO

### POSIADAMY NA SKŁADZIE

Conrad, Fantazja Almayera . . . . .	zł. 2.50
„ Smuga cienia . . . . .	1.95
„ Sześć opowieści . . . . .	1.95
Dickens, Opowieść wigilijna . . . . .	—95
Dumas, Dama kameljowa . . . . .	—95
Dygasiński, Gody życia . . . . .	2.95
Farnol, Na szerokiej drodze . . . . .	1.95
Gallet, Przygody C. de Bergerac 2 t. . . . .	1.90
Gomółicki, Siódme amen . . . . .	—95
Grubiński, Nowele . . . . .	—95
Jokaj, Atlantyda . . . . .	—95
Junosza, Na bruku . . . . .	—95
Kraszewski, Osł. z Siekierzyńskich . . . . .	—95
Leroux, Upiór w operze 2 tomy . . . . .	1.90
Ligocki, Powrót Beatryczy . . . . .	—95
London, Odszczerpienie . . . . .	1.95
„ Serce kobiety . . . . .	—95
„ Wilk morski 3 tomy . . . . .	2.85
„ Wyga . . . . .	—95
„ Zew krwi . . . . .	—95
„ Prawo białego człowieka . . . . .	—95
Sieroszewski, Ol - Soni - Kisań . . . . .	—95
Słoński, Maj ostatni . . . . .	1.—
Tetmajer, Anioł śmierci 2 tomy . . . . .	1.90
„ Księżniczka Metella . . . . .	2.—
Twain, Król i Osioł . . . . .	—95
Wells, Wehikuł czasu . . . . .	—95
Wierzyński, Pamiętnik miłości . . . . .	6.—
Winawer, Lepsze czasy . . . . .	—95
„ Znajomek z Fiesole . . . . .	—95

### JUŻ W TYM TYGODNIU LOSUJĄ

## PREMJUM!

KAŻDE, WPŁYWAJĄCE DO  
NASZEGO DZIAŁU KSIĘGAR-  
SKIEGO ZAMÓWIENIE OTRZY-  
MUJE KOLEJNĄ BIEŻĄCĄ  
LICZBĘ. TRZY, WZGLĘD-  
NIE DWA OSTATNIE CYFRY  
GŁÓWNEJ WYGRANEJ W DRU-  
GIEJ KLASIE PAŃSTWOWEJ  
LOTERJI KLASYCZNEJ, OD-  
POWIĘDAJĄCE LICZBIE ZA-  
MÓWIENIA, DAJĄ ODBIORCY  
TEGOŻ

## PREMJUM!

W POSTACI  
PIĘKNIE WYDANEJ  
MONOGRAFJI

## CZAJEWSKIEGO „KRAKÓW”

NA KREDOWYM PAPIERZE  
Z ILUSTRACJAMI

KONTO P. K.: O. 3.700

### Z BELETRYSTYKI RODZIMEJ

Dorożyńska, Na ostatniej placówce . . . . .	Zł. 10.—
Gawalewicz, Dla ziemi . . . . .	6.—
„ Drugie pokolenie . . . . .	6.—
Kozicka, Burza od wschodu . . . . .	12.—
Miciński, Włta . . . . .	8.—
Orzeszkowa, Anastazja. Bene - Nati . . . . .	5.—
„ Dziurdziowie. Cham. . . . .	5.—
„ Gloria victis! . . . . .	2.50
„ Nad Niemnem 2 t. . . . .	9.—
Prus, Anielka . . . . .	3.35
„ Faraon 3 t. . . . .	18.—
„ Lalka 3 t. . . . .	17.—
„ Placówka (wyd. pop. 3.75) . . . . .	6.—
Reymont, Chłopi 4 t. zł. 25. w opr. pi. . . . .	50.—
„ wyd. pop. 9.— w kart. . . . .	11.—
„ Pęknięty dzwon . . . . .	4.80
„ Rok 1794 3 t. . . . .	24.20
Rodziewiczówna, Byli i będą . . . . .	4.—
„ Dewajtis (wyd. jubi- leuszowe) . . . . .	6.80
„ Macierz . . . . .	3.—
„ Pożary i zgliszcza . . . . .	4.—
„ Straszny Dziadunio . . . . .	2.—
Sienkiewicz, Ogniem i mieczem 2 t. . . . .	7.60
„ Potop 3 t. . . . .	12.60
„ Pan Wołodyjowski . . . . .	4.80
„ Cała trylogia w oprawie płóciennnej . . . . .	43.—
„ Rodzina Polanieckich 3 t. . . . .	12.—
„ Quo vadis? . . . . .	4.50
Szczucka, Beatus scelus . . . . .	3.60
„ Pożoga . . . . .	8.—
Weyssenhoff, Noc i świt . . . . .	9.—
„ zeromski, Między morze . . . . .	2.50
„ Popioły 3 t. zł. 18.— w opr. pi. . . . .	27.—
„ Szyfowe prace . . . . .	5.50
„ Uciekła mi przepióreczka . . . . .	3.—



Matki dbające o higienę dzieci  
używają  
**MYDŁO HIGJENICZNE**  
i  
**PUDRY „DLA DZIECI”**

Wyrobu Laboratorium Apteki  
**M. MALINOWSKIEGO**  
Warszawa, Nowy Świat 31.

177



175



**PIERWSZA KRAJOWA  
FARBIARNIA I PRALNIA CHEMICZNA**

**JÓZEF ROTTER w Bielsku Cieszyńskim.**  
Oddział: Warszawa, Niecała 10. Tel. 413-15.

Przyjmuje wszelkiego rodzaju garderobę męską, damską i dziecięcą, uniformy wojskowe i urzędnicze, ornaty kościelne itd. do czyszczenia i farbowania podług recept znanych fabryk Bielskich.

**FUTRA FARBUE SIĘ I WYPRAWIA NA SPOSÓB LIPSKI. — SPECJALNY DZIAŁ CZYSZCZENIA DYWANÓW. PRANIE BIELIZNY MĘSKIEJ Z PIĘKNYM SREBRNYM POLYSKIEM.**

**CENY NISKIE, WYKONANIE SZYBKIE.**

Własne oddziały; we Lwowie, Krakowie, Katowicach, Sosnowcu i innych większych miejscowościach Polski

Wydany przez nas bardzo starannie,

## ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „ZBIORU” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

**ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”**  
Warszawa, Krak. Przedm. 99.  
Konto P. K. O. 3700.

**REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.**

**PRENUMERATA „BLUSZCZU”**

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

**CENY OGŁOSZEŃ:**

Na okładce: stronica  $\frac{1}{2}$  — 450 zł.,  $\frac{1}{4}$  str. — 260 zł.,  
 $\frac{1}{8}$  str. — 150 zł.,  $\frac{1}{16}$  str. — 80 zł.,  $\frac{1}{32}$  str. — 45 zł.,  
 $\frac{1}{64}$  str. — 30 zł. Za tekstem o 50% drożej.  
Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.